623395

BN
BN

III.623.395/1

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ. Nr. 1. Cena 10 gr.

LORD LISTER

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

POSTRACH LONDYNU

Łódź 1938. nr. 1-93.

BIBLIOTEKA NARODOWA
BN
III.623.395/1
A

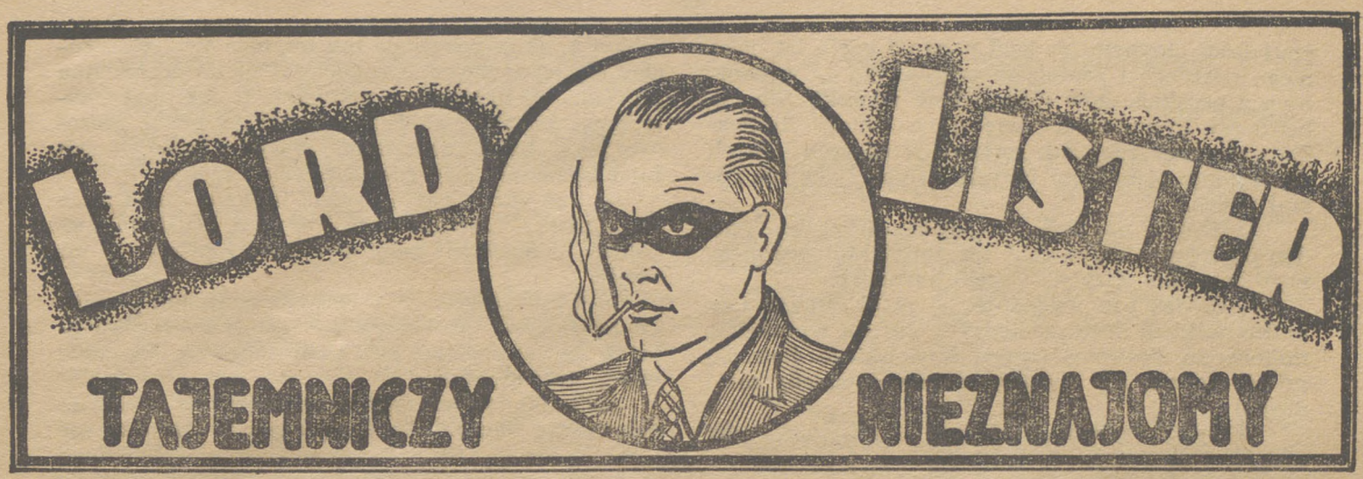

POSTRACH LONDYNU

Prześladowana niewinność

Około godziny szóstej wieczorem, bogaty kupiec branży jedwabnej, Lucas Brown, dał znak swemu głównemu buchalterowi, aby zamykał biuro.

Okna biura wychodziły na jedną z najruchliwszych ulic Londynu i mister Lucas Brown mógł przyglądać się spacerującym tłumom przez zasunięte żaluzje.

Zanim pracownik zdążył podnieść się z za biurka, mister Brown dodał śpiesznie:

— Proszę mi przysłać nową naszą urzędniczkę, miss Walton... Pragnę z nią pomówić.

Buchalter uśmiechnął się pod wąsem. Znając od dawna swego szefa, wiedział dokładnie jakiego rodzaju rozmowę miał on na myśli. Brown angażował do swej firmy jedynie młode i przystojne dziewczyny, które wpadły mu w oko. Korzystając z ich braku doświadczenia i naiwności, czynił z nich swe powolne narzędzia.

— Czy jest pan zadowolony z pracy miss Walton? — zapytał się buchaltera, który szedł właśnie zawołać dziewczynę.

— O, w zupełności — odparł mąż zaufania .

— To cudownie — Brown zatarł z zadowoleniem swe tłuste, obwieszone pierścieniami ręce. — Bardzo mnie to cieszy... To bardzo miłe i ładne dziecko... przy odrobinie sprytu, mogłaby mieć u mnie święte życie.

Fala hałasu wdarła się z ulicy przez okna... To roznosiciele gazet wybiegli tłumem z redakcji, wykrzykując ile sił w piersiach szczegóły najnowszej sensacji:

— **Ostatni wyczyn Rafflesa!... Kradzież brylantów wartości przeszło sześciu milionów!... Sprawca kradzieży — Tajemniczy Nieznajomy!...Nieuchwytny Raffles!... Raffles!... Raffles!...**

Przechodnie wydzierali sobie formalnie gazety z rąk:

— Niech mi pan skoczy po gazetę — rzekł Brown do buchaltera — Jakiś nowy kawał spłatał ten wisielec...

Buchalter wyszedł i wrócił po chwili, niosąc numer gazety, której cała pierwsza strona poświęcona była wyczynowi Rafflesa... Mister Brown szybko przebiegł wzrokiem artykuł:

— Zupełnie niebywały człowiek! Nie ma chyba sobie równego! Z jaką zręcznością trzyma on w szachu cały Scotland Yard... Doprawdy, od czasu gdy Sherlock Holmes wycofał się do zacisza domowego, główna kwatera naszej wspaniałej policji upodabnia się coraz bardziej do przytułku dla starych kobiet!...

— W samej rzeczy — przyznał buchalter — To prawdziwy geniusz... Uważam, że człowiek ten zmusza nas do podziwu... Niewątpliwie posiada całkiem niezwykłe właściwości... To król wśród przestępców.. Napoleon w swoim rodzaju... A zewnętrznie, ma wygląd skończonego gentlemana...

— Przesadza pan, mój drogi... Ten dziwaczny entuzjazm udzielił się całemu Londynowi... prawdziwa gorączka... Gdziekolwiek się udasz, wszędzie pełno nieprawdopodobnych historii o tym gentlemanie-przestępcy... Ładny mi gentleman — tu Brown wydął pogardliwie swe grube wargi — Pan również, panie Tomaszu, posiada dość dziwne pojęcie o tym, jakim powinien być w rzeczywistości prawdziwy gentleman...

— Bynajmniej, panie Brown... Przecież wszystkim wiadomo, **że ten przestępca cały swój łup obraca na wspomaganie biednych i nieszczęśliwych z Whitechapel i East-endu.**

— W takim razie to wariat — odparł Brown z flegmą. — Inaczej użyłby tych pieniędzy na bardziej normalne cele... Pieniądze można wydawać na przyjemności lub kobiety... Cała ta kanalia z Whitechapel nie zdołałaby wyciągnąć grosza z mej kieszeni...

— Zupełnie w porządku—odparł buchalter, tłumiąc śmiech — właśnie przeciw takiemu stanowi rzeczy występuje Raffles... Zamiast wyciągać z pańskiej kieszeni poszczególne grosze — woli zabrać panu cały portfel... Jest to bez porównania dla biedaków korzystniejsze.

Mister Brown ściągnął brwi i odpowiedział zlekka poirytowanym głosem:—Zapomina się pan chwila mi, panie Tomaszu. Proszę zaprzestać tego rodzaju

poufałości. Gdybym nie znał pana od wielu lat, jako mego wiernego i zaufanego pracownika — wysnułbym z pańskich słów niepożądane wnioski. Ale nie będziemy dysputowali więcej na temat Rafflesa. Najważniejsze żeby nas zostawił w spokoju. Niech się zajmuje pieniędzmi innych, byleby tylko nie ruszał moich.

— Miejmy nadzieję. Posiada pan ich tyle... Trudno poprostu wierzyć, żeby nie złożył któregoś pięknego dnia nam wizyty. — rzekł buchalter.

— Co też pan wygaduje! — rzekł Brown. Czy można mieć za dużo pieniędzy?... Jestem wprawdzie milionerem, dostawcą Dworu Angielskiego. Powodzi mi się dobrze, ale czy jest to powodem, aby mieć dosyć?

— Tym przyjemniej będzie Rafflesowi, gdy przyjdzie do nas w odwiedziny.

— Niech pan przestanie, działa mi pan na nerwy; słuchając pana wydaje mi się, że stoi on już pod mymi drzwiami.

Buchalter roześmiał się:

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby włożył kilka banknotów do mej kieszeni — rzucił — Podobno lubi on dopomagać biednym.

Szef wyprostował się w całej swej okazałości i zawołał ostrym tonem:

— Czy nie zaprzestanie pan swych głupich żartów? Mimo, iż jestem w najlepszym humorze, działa mi to na nerwy. Niech diabeł porwie Rafflesa! Od czasu, gdy cały Londyn pełen jest jego nazwiska, nie mam spokojnej chwili ani we dnie, ani w nocy. Ciągle mi się wydaje, że ktoś dobiera się do mojej kasy. Nie chcę więcej słyszeć o nim. Proszę zawezwać miss Walton.

Gdy buchalter wyszedł, mister Brown zbliżył się do swej ogniotrwałej kasy, stojącej obok biurka, i uważnie sprawdzał lśniące zamki z metalu i ciężkie zasuwy.

— Można stracić nerwy przez tego łotra — szeptał. — Nie potrafię opanować strachu... Przekonawszy się, że wszystkie zamki funkcjonują sprawnie— zmienił kombinacje sobie samemu tylko znaną i zanotował ją starannie. Właśnie kończył to zajęcie, gdy weszła miss Walton.

Choć ubrana nadzwyczaj skromnie, każdym swym ruchem musiała czarować mężczyzn na nią patrzących. Jasne spokojne oczy patrzyły poważnie z delikatnej twarzy. Zatrzymała się niepewnie w progu.

— Proszę się zbliżyć, moja ślicznotko — rzekł Brown, wodząc zachwyconym wzrokiem po zgrabnej figurce. Zapomniał zupełnie o Rafflesie. Wstał, podszedł do młodej dziewczyny i ujął jej delikatną dłoń w swe grube obwieszone pierścieniami palce. Ruchem pełnym kurtuazji wskazał jej miejsce na kanapie. Na samo dotknięcie jego ręki doznała uczucia odrazy. Ogarnęła ją niewytłomaczona niczem obawa. Brown usiadł bliziutko kanapy tuż naprzeciw dziewczyny i delikatnie gładził jej rękę, patrząc przy tym wymownie w jej jasne oczy. Wypieki wstydu wystąpiły na twarz miss Walton.

— Ma pani prześliczne ręce — zaczął Brown — Czy nie szkoda niszczyć tych pięknych paluszków w żmudnej pracy biurowej? Byłyby bardziej odpowiednie do dotykania rąbka wytwornej toalety lub do noszenia drogocennych pierścieni.

Miss Walton, zdziwiona, ze zdumieniem spoglądała na tego przeszło pięćdziesięcioletniego człowieka. W swej naiwności przypuszczała, że pragnie jej okazać w ten sposób rodzaj ojcowskiej serdeczności. Brown natomiast całkiem inaczej tłumaczył sobie spokój z jakim pozwalała mu trzymać swą rękę. Zachęcony jej zachowaniem pochylił się do ucałowania jej ręki. Na dziewczynę podziałało to jak prąd elektryczny. Instynkt kobiecy ostrzegł ją przed grożącym jej niebezpieczeństwem. Wstała z kanapy i usiłując opanować swe zdenerwowanie rzekła:

— Już późno, panie Brown. W domu czeka mnie chora matka. Jeśli nie wrócę w porę, będzie niespokojna. Zechce mi pan wybaczyć i pozwolić mi odejść.

— O! — rzekł szef — Nie jest znów tak późno... Co zaś dotyczy pani matki — będzie miała najlepszą w świecie opiekę, jeśli pani okaże się dla mnie trochę uprzejmiejsza.

Miss Walton spoglądała nań oczyma pełnymi oburzenia. Uczucie strachu poczęło ją opanowywać coraz bardziej. Cofnęła się o krok w tył. Brown podniósł się również, usiłując ująć jej rękę. Oczy jego płonęły, na twarzy malowało się pożądanie. Dotknął ramienia dziewczyny, która wyrwała mu się z krzykiem.

— Proszę mnie zostawić... Muszę iść do domu!

— Nie tak prędko, moja mała! — odparł Brown, zmieniając odrazu ton głosu i sposób zachowania się. Musisz pogadać jeszcze ze mną, czy chcesz czy nie chcesz. Do domu zawsze zdążysz... Będziesz mi wdzięczna za to, że cię tu zatrzymałem.

Chciał ją ująć i przyciągnąć do siebie. Dziewczyna skoczyła w bok:

— Proszę mnie zostawić... Bo będę wzywała pomocy!

— Oho! — zaśmiał się stary zwyrodnialec — Potrafisz złościć się, piękna kotko. Twoje krzyki nie na wiele się przydadzą: nikt ich nie usłyszy! Jesteśmy sami w biurze.

Miss Walton powiodła dokoła zrozpaczonym wzrokiem. Brown zasłaniał sobą drzwi. Przez okno spostrzegła stojącego na ulicy przed domem eleganckiego wysokiego młodego człowieka, który kupował gazetę wieczorną. W chwili gdy Brown usiłował po raz wtóry do niej się zbliżyć, szybkim ruchem podbiegła do okna, otworzyła je i krzyknęła w stronę stojącego młodego człowieka:

— Ratunku, na pomoc!

Młody człowiek odwrócił się zdziwiony. Ujrzała spokojne spojrzenie czarnych gorących oczu, jarzących się w ciemnej, spalonej od wiatrów twarzy.

— Natychmiast spieszę z pomocą! — rzucił nieznajomy.

Oddychając ciężko ze wzruszenia, miss Walton odeszła od okna.

Brown stał w środku pokoju z zaciśniętymi z wściekłości pięściami.

— Zapłacisz mi za to — krzyknął — szalona dziewczyno!

W tej samej chwili nieznajomy, niezatrzymywany widocznie przez nikogo, wszedł do pokoju.

— Czego pan tu chce? Proszę stąd wyjść, gdyż inaczej zawołam policję — rzekł kupiec pewnym tonem.

Nie racząc mu dać odpowiedzi, nieznajomy zwrócił się do miss Walton:

— W czym mogę pani pomóc? O ile zrozumiałem, napastowano panią?

Miss Walton spoglądała na swego zbawcę oczyma pełnymi zaufania i prośby.

— Proszę mi pomóc wyjść stąd — rzekła. Ten człowiek obraził mnie w sposób dotkliwy.

Nieznajomy wlot ocenił sytuację. Zbliżył się do kupca, obrzucił go od stóp do głów pełnym pogardy spojrzeniem:

— Stary rozpustniku, rzucił mu w twarz.

— Proszę stąd wyjść! — wykrzyknął Brown zdu

— szonym od wściekłości głosem.

Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, nieznajomy zwrócił się uprzejmie do miss Walton:

— Czy zechce pani iść za mną?

Dziewczyna z pośpiechem opuściła pokój.

— Jest pani wydalona!—wykrzyknął w ślad za nią Brown.

Nieznajomy uśmiechnął się do siebie i odprowadził swą protegowaną do progu drzwi wejściowych. Na ulicy mis Walton w kilku słowach, lecz bardzo serdecznie, podziękowała swemu wybawcy. Chciała go już pożegnać, gdy poprosił nagle:

— Czy nie mogłaby mi pani podać swego adresu?

Bez wahania młoda dziewczyna napisała swe nazwisko oraz adres na kartce wydartej z notesu i dała je nieznajomemu. Mężczyzna schował ją starannie, ukłonił się głęboko i rzekł melodyjnym głosem, który długo jeszcze potem dźwięczał w uszach dziewczyny:

— Niech pani wraca czemprędzej do domu, miss Walton, i dziękuje Bogu, że mnie postawił na pani drodze.

Myśląc o chorej matce, dziewczyna poczęła prawie biec do domu. Nie spostrzegła, że jej wybawca, zamiast iść swoją drogą, powrócił do biura i zamknął starannie za sobą drzwi.

Przez czas jakiś nasłuchiwał uważnie, **po czym włożył na siebie czarną maskę i wślizgnął się do gabinetu kupca.** Mister Brown w kapeluszu na głowie gotował się właśnie do wyjścia. Wydawało się, że zapomniał zupełnie o przykrej scenie z przed paru minut. Zapalając cygaro nucił wesoło arię z ostatniej operetki. Zapaloną zapałką dotknął kosztownej hawany, gdy nagle zatrzymał się jak wryty. Zimny dreszcz przeszył jego plecy. Tuż obok niego wyrósł jakby z pod ziemi zamaskowany człowiek, trzymający rewolwer w ręce.

— Zechce pan łaskawie dotrzymać mi towarzystwa przez kilka chwil — usłyszał groźny głos. — Pragnę zapoznać się bliżej z panem i zawrzeć pewną korzystną transakcję.

Przerażenie pozbawiło kupca głosu. Kolana jego chwiały się. Wzrok mętniał tak, że cały gabinet zdawał się skakać przed jego oczyma.

— Proszę iść za mną! — rozkazał zamaskowany człowiek ostro.

Mister Brown usłuchał wbrew swej woli. Nie byłby w stanie stawiać najmniejszego oporu.

Droga, którą wiódł nieznajomy, prowadziła przez korytarz do pokoju, służącego urzędnikom za garderobę. Stała tam duża szafa, w której pracownicy wieszali swe palta i kapelusze. Człowiek w masce otworzył tę szafę i rozkazał wejść do niej Brownowi.

— Poproszę o portfel pański — dodał.

Drżący i szczęśliwy jednocześnie, że udało mu się wykpić stosunkowo tanim kosztem, kupiec wręczył mu swój wypchany portfel.

— Brak mi czasu dzisiaj — dodał nieznajomy — aby zająć się pańską prywatną kasą. Bądź pan jednak spokojny, uczynię to innym razem.

Nieznajomy zamknął za Brownem drzwi szafy i przeszedł do biura. Usiadł za biurkiem kupca, otworzył portfel i wyciągnął z niego garść banknotów. Wziął koperty z nagłówkami firmy i do każdej z nich włożył po parę banknotów. Zamiast wyjaśnienia napisał następujące słowa:

Proszę z nich zrobić dobry użytek. Przesyłam je z pozdrowieniami.

John Raffles.

Wyciskając na kopertach pieczęć wyobrażającą ukoronowaną trupią czaszkę nieznajomy śmiał się do siebie. Listy te poukładał na miejscu każdego z pracowników. To uczyniwszy, powrócił do uważnego oglądania zawartości portfelu. Zainteresował się pewnym listem. List ten pochodził od jakiegoś bankiera z Oxford Street i zawierał treść następującą:

Drogi Brownie.

Nasz ostatni interes dyskontowy przyniósł nam grubez yski. Doktór Welter, którego weksel znajdował się w naszym posiadaniu, przystał wreszcie na zapłatę pod groźbą rozprawy sądowej. Z interesu tego zapisałem dwieście funtów na Twoje dobro. Przyślij mi czemprędzej drugiego podobnego durnia. To są sprawy którymi warto się zająć. Łączę serdeczne pozdrowienia

szczerze oddany

James Gordon.

— Muszę zapoznać się bliżej z tym człowiekiem — rzekł Raffles — Ludzie tego pokroju powinni wpadać w moje ręce.

Włożył list do kieszeni, nasunął maskę i opuścił biuro. Gdy otwierał drzwi od ulicy, słyszał wściekłe walenie pięściami w drzwi szafy. To Brown usiłował wydostać się z swego więzienia. Roześmiał się serdecznie i zniknął w tłumie.

Mali gazeciarze nie przestawali wykrzykiwać na całe gardło o ostatnim jego wyczynie, nie wiedząc zupełnie, że w międzyczasie zdążył dokonać nowego.

* * *

Stary lichwiarz

W swym małym „biurze“ na Oxford Street bankier James Gordon liczył srebrne oraz złote monety, układał je w rulony i zamykał w kasie pancernej. Był to maleńki człowieczek, którego pomarszczona stara twarz wyrażała przebiegłość i chciwość. Właśnie zdążył zamknąć kasę, gdy ktoś zapukał lękliwie do drzwi.

— Proszę wejść! — rzekł zachrypniętym, przykrym głosem.

Ukazała się kobieta lat około pięćdziesięciu. Pełna lęku i niezdecydowania, zatrzymała się na progu.

Człowiek obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

— Czego pani chce? — zapytał krótko, zajmując miejsce za biurkiem.

— Bardzo przepraszam — mamrotała niewyraźnie kobieta. — Nazywam się Anna Walton. Czytałam w gazetach ogłoszenie, że pan udziela pożyczek.

— To mój zawód — odparł bankier — Przyszła mnie pani prosić o pożyczkę, czyż nie tak?

— Tak — odparła kobieta słabym głosem — Jestem w bardzo trudnej sytuacji. Mąż mój umarł zeszłego roku. Córka nie może znaleźć zajęcia.

— Czy przyniosła mi pani coś na zastaw? — zapytał bankier, bębniąc po stole swymi kościstymi palcami.

Kobieta spoglądała nań bez odpowiedzi.

— Cóż to, nie rozumie pani, czy też zaniemówiła pani nagle? — Mruknął po dłuższej pauzie — Py-

tam, czy pani ma rzeczy, które mogą służyć za zastaw.

— Mam zaledwie trochę gratów — rzekła kobieta z oczyma pełnymi łez — Wszystko to nie przedstawiałoby dla pana wartości jednego funta.

Bankier Gordon, zagwizdał wzgardliwie i roześmiał się brutalnie:

— Czy pani ma mnie za idiotę? Cały Londyn, wszyscy nędzarze z Whitechapel przychodziliby do mnie po pieniądze? To dobre! Ładniebym wyszedł, gdybym wszystkim biedakom pożyczał pieniądze bez żadnej gwarancji. Niestety takich rzeczy nie robię.

— Jestem chora — rzekła kobieta. — Musiałam zwlec się z łóżka, żeby przyjść tu do pana i błagać o pomoc...

— Lepiejby pani zrobiła, zostając w łóżku. Naraziła mnie pani tylko na stratę czasu, — odparł twardo bankier.

— Co mi teraz pozostało? — Nie mam dokąd się zwrócić. Daję panu moje najświętsze słowo, że gdy tylko wyzdrowieję, będę pracowała dzień i noc żeby oddać panu pożyczone pieniądze.

— Nie mogę z panią dłużej rozmawiać — odparł. — Powiedziała pani jednak, że ma pani córkę. Czemuż nie wyśle jej pani wieczorem na Picadilly? Jeśli jest dość ładna, zarobi na życie swoje i matki.

Na dźwięk tych okropnych słów, kobieta zbladła.

— Widać że nie ma pan dziecka — krzyknęła. Inaczej nie mógłby pan tak mówić.

Bankier wzruszył pogardliwie ramionami i wskazując na drzwi rzekł krótko.

— Wynosić mi się czemprędzej! Nie mogę bez końca wysłuchiwać cudzych jeremiad. Mam dużo roboty!

Wolno, jak ktoś bardzo zmęczony, kobieta skierowała się do drzwi, które nagle otwarły się same. Stanął w nich człowiek młody i bardzo elegancki. Nowoprzybyły położył dłoń na ramieniu nieszczęśliwej kobiety i rzekł:

— Proszę pozostać, pani Walton. Drzwi były niedomknięte i niechcący usłyszałem całą rozmowę. Mam nadzieję, że będę mógł pani pomóc.

Usłuchała nie bez wahania. Tajemniczy gość zamknął za sobą starannie drzwi. Gordon wstał i przyglądał się przybyszowi z niezdecydowaniem. Ocenił odrazu wytworność jego wyglądu i przyszedł niezwłocznie do wniosku, że osobnik ten musiał należeć do najlepszego towarzystwa. Niedbałym ruchem nie znajomy zdjął szare rękawiczki, wsunął monokl w oko i zapalił papierosa. Jakgdyby dla zaakcentowania swego lekceważenia zatrzymał kapelusz na głowie. Móg liczyć lat około trzydziestu. Na twarzy jego malowała się duma i pewność siebie. Spoglądał na bankiera śmiałymi, zdecydowanymi oczyma.

Nerwowy niepokój opanował starca. Starał się domyśleć, czego mógł żądać od niego ten intruz. Sądząc po wspaniałym diamentowym pierścieniu, nie przyszedł po pożyczkę. Gość milczał i z ironicznym uśmiechem puszczał w twarz bankierowi kłęby dymu.

— Czem mogę panu służyć? — zapytał starzec.

— Bardzo wieloma rzeczami — odparł młody człowiek — Dowiedziałem się, o pańskim adresie podczas krótkiej wizyty, jaką złożyłem wczoraj wieczorem Brownowi. Miło mi pana poznać.

Czoło Jamesa Gordona rozjaśniło się na dźwięk nazwiska swego najlepszego przyjaciela, Browna. Ukłonił się uprzejmie, gestem wskazał mu miejsce i rzekł:

— Z kim mam przyjemność?

Nie spuszczając z oczu Gordona swego przenikliwego, spokojnego wzroku, nieznajomy odparł po chwili milczenia:

— Imię moje jest panu dobrze znane. Nazywam się... — tu zrobił nową pauzę; poczem rzekł wolno od mierzonym głosem: — **John Raffles.**

Bankier James Gordon podskoczył, jakgdyby ugryziony przez jadowitego węża. Prawą ręką niespokojnie błądził po papierach leżących na biurku, w poszukiwaniu rewolweru.

— To pan jest Rafflesem! — szeptał niewyraźnie — Raffles, ten który....

— Tak jest — przerwał gentleman —jestem tym, o którym pan myśli, Rafflesem. **Tajemniczym Nieznajomym, który jako sport traktuje wyszukiwanie łotrów bez serca jak pan i który zapomocą pieniędzy odebranych pijawkom i wampirom usiłuje naprawić choć w części te zbrodnie, które wy popełniacie...** A przedewszystkim — rzekł zwracając się do pani Walton — powróćmy do najbliższej sprawy. Ile pani potrzeba pieniędzy? Pięćdziesiąt funtów czy to dosyć?

— Och — zawołała nieszczęśliwa kobieta — wystarczy mi pięć funtów.

— Znam pani córkę i jestem szczęśliwy, że przypadek pozwolił mi oddać pani przysługę. Ale wróćmy do interesu.

Odwrócił. się do Gordona:

— Proszę odliczyć natychmiast pięć funtów dla pani Walton.

Bankier chciał coś odpowiedzieć, lecz strach sparaliżował mu język. Jak zahypnotyzowany spojrzeniem Rafflesa podszedł do kasy, wyjął banknot pięciofuntowy i położył na biurku.

— Proszę wziąć — rzekł Raffles do kobiety. — Mister Gordon daje je pani z dobrego serca. Jest to najbardziej uczciwa tranzakcja jaką zawarł w całym swym życiu, bowiem daje tę sumę bez procentów. To człowiek litościwy, pozwoli pani trzymać je aż do czasu, gdy zarobki się poprawią. Wie, że znajduje się pani w skrajnej nędzy i dlatego nie stawia pani żadnych warunków. Nader porządny człowiek, nasz bankier Gordon! A teraz zechce pani pójść do domu i zostawić nas samych.

Rozpływając się w podziękowaniach, biedna kobieta opuściła kantor. Zaledwie zdążyła zamknąć drzwi, Raffles odezwał się zupełnie innym tonem:

— Cieszę się, że poznałem nareszcie największego lichwiarza, najokrutniejszego dusiciela w całym Londynie. A teraz zechce pan łaskawie — tu nieznajomy wyciągnął rewolwer ze swej eleganckiej marynarki — zachowywać się najspokojniej.

Z uginającymi się nogami, bankier usiadł na wskazanym mu przez Rafflesa miejscu. Był bezsilny. Widział, jak John Raffles otworzył kasę żelazną, wyjął z niej gruby pakiet weksli, które lichwiarz otrzymał od swych nieszczęśliwych dłużników, i wsunął do swej teczki z wytwornej miękkiej skóry.

Bankier jęknął jak zwierzę złapane w potrzask. John Raffles spojrzał na niego z ironicznym uśmiechem:

— Czy ma pan jakieś życzenie? Żałuje pan prawdopodobnie, że zdejmuję z pana ciężar grzechów, które popełnił pan, wymuszając zobowiązania od nieszczęśliwych. Winien pan mi wdzięczność, że oczyszczam pańskie sumienie. Co do reszty, może się pan zwrócić do policji. Ale — tu wybuchnął śmiechem, zapalił nowego papierosa i ciągnął dalej:—

Mam nadzieję jednak, że nie ma pan zbytniej ochoty do zobaczenia się z policją. Niewątpliwie wsunęłaby nos w pańskie podejrzane tranzakcje. Wytworzyłaby się zabawna sytuacja: Oprócz szkód jakie wizyta moja mogłaby panu przysporzyć, — otrzymałby pan jeszcze dodatkowo parę lat więzienia. Byłby to dla pana pobyt pożyteczny. Bardzoby przydał się społeczeństwu, które pan dręczy swoją obecnością. Uważam pana za zbyt wielkiego tchórza, aby ośmielił się pan wezwać policję; dlatego też ja sam będę miał przyjemność zawiadomić ją o napadzie.

Blada jak popiół twarz bankiera pokryła się ceglastym rumieńcem. Strach i nienawiść lśniły w jego oczach.

— Pan chyba żartuje — rzekł zachrypniętym głosem — Pocóżby miał pan zawiadamiać policję?

— Powiedziałem to panu przed chwilą — odparł Raffles. — Oswobodzi to społeczeństwo od pańskiej osoby.

Bankier rzucił się na kolona i składając błagalnie ręce prosił o litość.

John Raffles pozostał niewzruszony. Jęki nędznika wzbudzały w nim wstręt.

— Jest pan tchórzem, jak wszyscy łotrzy — rzekł tonem pogardy. — Będę w stosunku do pana tak samo bezwzględny jak pan względem tych nieszczęśliwych, którzy wzywali pańskiej pomocy.

Raffles chwycił grubą książkę rachunkową i uderzył nią silnie lichwiarza w głowę.

— To na pamiątkę ode mnie — rzekł na widok leżącego na ziemi bankiera. Wyciągnął z kieszeni malutką flaszeczkę z usypiającym płynem, wyjął chusteczkę z kieszeni bankiera, nalał parę kropel i przytknął do ust i nosa.

— Trzeba, żeby pozostał w tej pozycji, tak długo, dopóki policja nie zdąży tu przyjść. Inaczej żart mógłby się nie udać.

—Złodziej — dobroczyńca zabrał książkę rachunkową, portfel wypchany wekslami oraz zobowiązaniami i wyszedł z kantoru.

Starannie zamknął drzwi wejściowe i oddał klucz małemu pomocnikowi dozorcy.

— Mister Gordon musiał na dwie godziny opuścić biuro. Prosił mnie, abym oddał ten klucz.

— Doskonale — odparł dzieciak.

Wziął klucz nie podejrzewając nic złego i schował do kieszeni.

* * *

Postrach Scotland Yardu

Komisarz policji Baxter siedział w swym gabinecie w słynnym Scotland Yardzie, na dźwięk którego drżą przestępcy całej Anglii. Trzymał przed sobą aparat telefoniczny i z dużym zainteresowaniem śledził tajne wiadomości nadsyłane systemem Morsa ze wszystkich zakątków kraju. Między palcami komisarza wiła się wąska taśma depesz. Nagle oczy jego otwarły się ze zdumienia, jakgdyby z taśmy tej wyjrzała ku niemu twarz widma. Zbladł i słaby okrzyk zamarł na jego wargach. Szybko chwycił rączkę dzwonka.

Agenci policji wyrośli jak spod ziemi.

—Co się stało, panie komisarzu? — zapytał wywiadowca Tyler, olbrzymi mężczyzna o potężnych barach....

— Makabyczna historia! — denerwował się komisarz, chodząc jak opętany po gabinecie — Diabelski kawał tego łotra, który musiał wejść w przymierze z szatanem... Już nic nie ma pewnego na świecie!... Byle jaki złoczyńca może włączyć się do naszej tajnej sieci telegraficznej i przejąć nasze najbardziej sekretne wiadomości... Otrzymałem w tej chwili nieprawdopodobny telegram od tego łotra Rafflesa... To już chyba najbardziej zadziwiający z jego wyczynów... Spójrz cie panowie...

Wywiadowcy policji z zaciekawieniem skupili się dokoła swego szefa, szarpiącego ze zdenerwowaniem taśmę telegraficzną, na której widniały następujące słowa:

Do Pana Komisarza Policji Baxtera, w Scotland Yardzie.

Pozwalam sobie zawiadomić panów w sposób który wydaje mi się najszybszy, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin dokonam włamania do kasy pancernej lorda Listera.

Aby ułatwić panom pracę, obiecuję uroczyście, że w przyszłości o wszystkich mych wyprawach będę uprzednio zawiadamiał telegraficznie Scotland Yard.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i prawdziwego poważania

Raffles!—powtórzyli w zdumieniu agenci policji.

— Tak, panowie... — Śmiałość tego łotra przechodzi wszelkie granice... Nie mogę myśleć o niczym innym... Raffles! Zawsze i wszędzie Raffles! Nazwisko to doprowadza mnie do obłędu! Wszystkie pisma angielskie i zagraniczne kpią z nas... I pomyśleć tylko: poczynając od dzisiaj — będzie nas zawiadamiał o wszystkich swych zamierzonych eskapadach... Czy można sobie wyobrazić podobną bezczelność?...

— W każdym razie będzie to dosyć wygodne dla nas, komisarzu.

—Uprzejmy z niego człowiek! — odparł detektyw Marholm, którego złoczyńcy Londynu nazywali **Pchłą** z powodu wielkiej jego ruchliwości.

Uśmiechnął się ironicznie wiedząc że doprowadza tym do wściekłości swego szefa.

— Potrafi pan wspaniale znajdować okazję do śmiechu, agencie Marholm! — rzekł komisarz, waląc ze złości pięścią w stół.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Wywiadowca Tyler podniósł słuchawkę, reszta czekała w milczeniu. Wtem ten ciężki, będący uosobieniem siły człowiek pobladł i począł drżeć na całym ciele. Prawą ręką kurczowo chwycił się stołu. Koledzy spojrzeli nań ze zdumieniem.

— Co się stało? — zapytał Baxter.

Ruchem ręki Tyler dał mu znak milczenia. Pełnym wzruszenia głosem rzucił krótkie „tak" w kierunku telefonu, odwiesił słuchawkę i zaraportował:

— Musimy natychmiast udać się do biura bankiera Jamesa Gordona na Oxford Street. Bankier leży nieprzytomny przed kominkiem. Z kasy zabrano trzy tysiące osiemset sześćdziesiąt pięć funtów sterlingów.

— Kto nadał tę wiadomość? — zapytał komisarz Baxter, gotując się do wyjścia.

— Kto? — powtórzył wywiadowca oddychając ciężko — sam złodziej... A dla pana, panie komisarzu, złoczyńca przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia, nie tając swego nazwiska: John Raffles!

Słowo to podziałało jak eksplozja bomby. Po chwili ciszy Baxter wykrzyknął:

— Naprzód chłopcy! Szkoda każdej sekundy! Co to za człowiek!...

W kilka minut później wielkie auto policyjne opuszczało mury Scotland Yardu. Wewnątrz jego siedzieli: komisarz Baxter z czterema najzdolniejszymi detektywami. W kilka minut znaleźli się przed domem, w którym mieścił się kantor bankiera Jamesa Gordona przy Oxford Street. Był to wielki budynek zajęty od parteru aż po szóste piętro przez rozmaitego rodzaju biura. Dozorca zaprowadził agentów na czwarte piętro do lokalu Gordona. Drzwi były zamknięte. Na drzwiach widniała przybita pluskiewką kartka z następującym napisem:

Klucz od biura znajduje się u małego chłopca, pomocnika dozorcy.

Posłano natychmiast po chłopaka: Z poszarpanej kieszeni malec wyjął pęk kluczy. Jeden z nich otrzymał od pewnego jegomościa, który polecił mu zachować go aż do przyjścia Gordona.

— Jak wyglądał ten jegomość? — zapytał Baxter.

— Był mniejwięcej pańskiego wzrostu — odparł chłopak. — Miał czarną brodę, ciemną twarz, czarny kapelusz. Mówiąc, jąkał się co chwila.

— Nareszcie udało nam się uzyskać rysopis tajemniczego nieznajomego! — rzekł komisarz — Czy pamiętasz jakiego koloru miał oczy?

—Na to nie mógłbym odpowiedzieć. Ten pan nosił bardzo ciemne okulary.

Detektyw Marholm roześmiał się na głos.

— Nie traćmy lepiej czasu na niepotrzebne głupstwa. — rzekł wywiadowca Tyler otwierając drzwi.

Weszli do środka. Wszystko wyglądało tak, jak opisał głos nieznajomego. W powietrzu unosił się słodkawy, mdły zapach chloroformu z eterem, niebezpiecznej mieszaniny, używanej przez złoczyńców londyńskich do usypiania ofiar, które chcą ograbić. Dzięki zabiegom policji James Gordon szybko wrócił do przytomności. Odzyskawszy mowę krzyknął niezadowolonym tonem:

— Czego panowie tu chcą?

Zapytanie to tak zaskoczyło detektywów, że przez chwilę stanęli bez ruchu.

—Został pan okradziony — rzekł Baxter, wskazując na otwartą kasę.

Bankier uczynił obojętny gest i zapytał powtórnie:

— Kim panowie właściwie jesteście?

Baxter i policjanci sądzili, że bankier jest jeszcze oszołomiony narkotykiem.

— Zostawmy go przez parę minut, niech przyjdzie do siebie — rzekł detektyw Marholm do komisarza. — Nie przypomina sobie widocznie tego co się stało.

Ostra twarz Gordona, przypominająca drapieżnego ptaka, poczerwieniała ze złości.

— Jeszcze raz was się pytam — wykrzyknął swym zachrypniętym głosem — czego chcecie w moim biurze? Czy macie jakiś interes do mnie?

Komisarz odchylił palto, pokazując mu złocony znak na piersi.

— Jesteśmy agentami Scotland Yardu. Otrzymaliśmy informację, że u pana popełniono kradzież.

— Kto panów o tym zawiadomił?

— Złodziej sam — odparł komisarz.

— Oszaleliście! Wiem chyba lepiej od was, czy zostałem okradziony, czy nie!

Detektywi nie mogli zrozumieć dziwnego zachowania się bankiera.

— Czy chce pan z nas kpić? — zawołał Baxter zdenerwowany.

Mały człowiek podniósł się z podłogi. Nakazującym gestem wskazał na drzwi i rzucił przez zęby.

— Jeśli natychmiast nie opuścicie mego biura, zwrócę się o pomoc do najbliższego posterunku policji. Nic tu nie macie do roboty. Proszę wyjść.

Nie rozumiejąc zupełnie o co mu idzie, wywiadowcy kierowali się do drzwi. Od progu komisarz Baxter zwrócił się jeszcze do rozzłoszczonego bankiera:

— Niech pan się zastanowi nad tym co pan robi. Wiemy o tym, że został pan napadnięty i okradziony. Zabrano panu 3.862 funtów sterlingów.

— Niech pan się miesza do własnych spraw, nie do moich — odparł bankier, kipiąc z wściekłości. — Powtarzam wam, że ja was nie wzywałem. A teraz po raz ostatni: proszę wyjść!

Nie było innej rady: — Agenci jak niepyszni wynieśli się z biura. Na korytarzu spojrzeli po sobie zdumionym wzrokiem. Mieli wrażenie, że ogarnął ich nagły obłęd. Z zamkniętego biura dochodził ich odgłos złego śmiechu.

— Jest to najdziwniejszy wypadek, jaki zdarzył mi się w całej mojej karierze — rzekł Baxter do wywiadowcy Tylera. — Człowieka okradziono, to pewne, złodziej sam nas o tym zawiadomił i to cośmy na miejscu zastali potwierdziło prawdziwość jego informacyj. Nie rozumiem, dlaczego właściwie poszkodowany wyrzucił nas za drzwi.

Jakiś mały chłopiec na posyłki wbiegł na korytarz, pytając o komisarza Baxtera.

— To ja — odparł komisarz.

Chłopiec oddał mu list, na którego kopercie widniał wypisany dużemi literami adres:

Pan Komisarz Baxter
u Jamesa Gordona, bankiera
Oxford Street.

Komisarz śpiesznie otworzył list. Z koperty wypadł banknot dziesięciofuntowy i karteczka. W miarę czytania oczy Szefa Bezpieczeństwa zdawały się wychodzić z swych orbit.

Wzamian za przykrość jaką sprawiła panom moja ostatnia eskapada pozwalam sobie przesłać dziesięć funtów i mam nadzieję, że użyjecie ich na zjedzenie dobrego śniadania.

Raffles.

W bezsilnej złości zmiął kopertę i wsunął ją do kieszeni. Wstydził się pokazać list ten kolegom.

— Idziemy teraz do lorda Listera. — Uprzednio zmobilizujemy Scotland Yard. Jestem pewien, że nędznik nie odważy się dokonać włamania. Tam schwytalibyśmy go z pewnością.

Baxter nie zauważył, że agent zwany Pchłą uśmiechał się pod wąsem. W czasie całej swej kariery Marholm tak dobrze się nie bawił jak tym razem.

* * *

Przyjaciel nieszczęśliwych

Wytworne salony eleganckiego pałacyku, zajmowanego przez lorda Listera na Regent's Park — wypełniał tego wieczoru tłum ludzi obojga płci w rozmaitym wieku i rozmaitego pochodzenia.

Wszyscy trzymali w ręce telegram i rozmawiali z sobą przyciszonymi głosami. Tematy tych rozmów były prawie jednakowe, bowiem jednakowa była treść otrzymanych przez nich telegramów

Celem zlikwidowania pańskiego rachunku, bankierem Gordonem i dla skreślenia długu, zechce pan zgłosić się dziś wieczorem do mnie

Lord Lister

Regent's Park 2.

Otwarły się drzwi i lord **Edward Lister**, młody człowiek około lat trzydziestu, przystojny i dystyngowany — wszedł do hallu. Za nim ukazał się jego sekretarz prywatny, trochę odeń młodszy. Sekretarz dźwigał tekę wypełnioną papierami. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę lorda. Lord Edward Lister objął wzrokiem zgromadzonych i rzekł dźwięcznym głosem:

— Dziś otrzymałem te tekę wraz z wszelkiemi dokumentami od bankiera Gordona z poleceniem, abym zwrócił wam wszystkie weksle i zobowiązania przez niego posiadane.

Zapanowało milczenie. Jakiś stary człowiek, wyglądający jak emerytowany oficer, wstał i rzekł:

— Niechaj Bóg skarze tego niecnego lichwiarza.

— Przeklinam godzinę, w której nędza mych dzieci pchnęła mnie w szpony tego wampira — dał się słyszeć ostry głos kobiecy — Wszyscy ci, którzy go znają, myślą tak samo, jak i ja.

Tu i owdzie dały się słyszeć pomruki przeciwko bankierowi.

Lord Lister wysłuchał ich uważnie. Gdy hałas uspokoił się, z uśmiechem zabrał głos.

— Znam równie dobrze jak i wy opinię tego Shylocka. Na nieszczęście prawo jest bezsilne, wobec potworów tego pokroju. Ci zbrodniarze, którzy potrafią swą działalność zamknąć w legalnych ramach, są stokroć niebezpieczniejsi, od tych, których sprawiedliwość osadza za kratami. Dlatego też drodzy moi postanowiłem oddać wam dziś wasze zobowiązania, wymuszone na was przez tę pijawkę w najcięższe przed powtórnym wpadnięciem w podobne szpony. Otwórz teczkę Charly!

Nieszczęśliwi nie wierzyli własnym uszom. Przecież to był prawdziwy cud. Z niedowierzaniem wyciągali ręce po swe dokumenty, badali prawdziwość własnego podpisu. Omyłka była wykluczona. Niewątpliwie były to ich weksle i obligi. Uczucie olbrzymiej wdzięczności dla lorda Listera, nieznanego dobroczyńcy, ogarnęło ich serca. Wszyscy chcieli uścisnąć jego rękę. Kiedy jednak podnieśli oczy w kierunku tego miejsca, gdzie stał jeszcze przed chwilą, nie było go już tam. Lord Lister zniknął. Hall powoli opróżniał się i cisza wieczorna poczęła królować w pałacyku.

W zacisznym gabinecie siedział zagłębiony w fotelu przed kominkiem lord Lister paląc papierosa. Na twarzy jego o regularnych rysach malował się wyraz poważnego smutku. Rozmarzonym wzrokiem ścigał kapryśny taniec płomieni. Charles Brand, jego sekretarz prywatny i najlepszy przyjaciel siedział opodal. Wielkie dwuskrzydłowe drzwi łączyły gabinet urządzony skromnie lecz z dobrym smakiem z pokojem sypialnym. Na lewo od tych drzwi stał wysoki zegar flamandzki, na prawo zaś kasa żelazna. Służący wniósł stos dzienników wieczornych. Pierwsze stronice pism pełne były krzykliwych nagłówków:

Raffles przy pracy!

Scotland Yard wyprowadzony w pole!

Bankier londyński, który nie chce przyznać się, że go okradziono.

Lord Lister z uśmiechem podał gazety swemu przyjacielowi. Podczas gdy Charles Brand zagłębił się w lekturze, lord Edward z zainteresowaniem śledził wyraz twarzy swego przyjaciela. Spostrzegł, że młody człowiek zbladł wyraźnie. Udając, że tego nie zauważył, zapalił drugiego papierosa. Zdążył zaledwie zaciągnąć się dymem kilka razy, gdy Charles Brand zapytał:

— Edwardzie, jak dalece jesteś wtajemniczony w interesy bankiera Gordona?

Lord Lister zaśmiał się znowu, strącił popiół z swego papierosa do ognia na kominku i wzruszył obojętnie ramionami.

— Wtajemniczony w interesy Gordona? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czy czytałeś, że został on okradziony dzisiejszego ranka?

— Chcesz raczej powiedzieć, że policja ogłasza wieści o jego okradzeniu. Panowie ze Scotland Yardu opowiadają o kradzieży, podczas gdy sam poszkodowany zaprzecza temu kategorycznie.

— Jest to najbardziej tajemnicza historia ze wszystkich jakie słyszałem! — rzekł Charly.

— Bynajmniej — odparł lord Lister — Gdybym był detektywem, znalazłbym natychmiast brakujące ogniwo.

— W jaki sposób? — zapytał Charly, spoglądając z zaciekawieniem na swego przyjaciela.

— Bardzo proste. Okradziony ma najwidoczniej poważne powody, aby unikać najmniejszego kontaktu z policją. Woli ponieść dotkliwą stratę niż narazić się na dochodzenie, które może jego samego zaprowadzić na ławę oskarżonych.

— Byłbyś świetnym detektywem!

— Niewątpliwie. Rok temu, kiedy życie dało mi się porządnie we znaki, zastanawiałem się poważnie nad tym, czyby nie wstąpić do spółki do jakiegoś poważnego detektywa w rodzaju Nicka Cartera, aby wspólnie ścigać przestępców. Zważywszy jednak wszystko dokładnie, przyszedłem do wniosku, że szukając „sportu", któryby mi przywrócił zainteresowanie życiem zrobię lepiej, wybierając rolę niemyśliwego a zwierzyny. Zechciej mnie zrozumieć Charly: Całą tę sprawę traktowałem wyłącznie z punktu widzenia sportowego.

— Słuchając ciebie Edwardzie, możnaby przypuścić, że interesujesz się szczerze tym nieuchwytnym przestępcą Rafflesem.

—Oczywiście, Raffles walczy ze złoczyńcami, którzy potrafili skryć się pod opiekuńcze skrzydła prawa. Ten tajemniczy nieznajomy robi więcej dobrego niż wszystkie intsytucje filantropijne w całym Londynie. W najnędzniejszych dzielnicach, w kryjówkach nędzy imię Rafflesa powtarza się z czcią. Niewątpliwie on sam przysłał mi dziś przez swego zaufanego wszystkie weksle bankiera Gordona, abym zwrócił je prawym właścicielom.

— To naprawdę człowiek wybitny — rzekł Brand. Mówi o nim cały świat, a mieszkańcy West-Endu drżą na sam dźwięk jego imienia.

— O, z pewnością! — rzekł lord Lister — Bogaci drżą, lecz biedni się cieszą!

Wszedł lokaj niosąc na srebrnej tacy kartę wizytową. Twarz lorda Edwarda zaczerwieniła się z radości na widok nazwiska, wypisanego na karcie.

— Wprowadź tę panią — rzekł.

Zwracając się do swego przyjaciela dodał:

— Charly, teraz jesteś wolny. Będę prawdopodobnie zajęty cały wieczór. Dziś więc porzucimy nasze codzienne studia historyczne.

Charles Brand podniósł się, uścisnął przyjaźnie rękę Listera i wyszedł.

Zaledwie zdążył opuścić gabinet, gdy do pokoju weszła młoda kobieta o twarzy zakrytej gęstą woalką.

— Jakże się cieszę, miss Walton! — rzekł młody człowiek. Z galanterią ucałował rękę dziewczyny.

— Pozwoliłem sobie napisać do pani. Musiałem się koniecznie z panią zobaczyć i bardzo jestem wdzięczny, że pani przyszła.

— To ja jestem winna panu wdzięczność — odparła poprostu.

Odrzuciła w tył woalkę. Lord Lister ujrzał twarzyczkę Madonny o jasnych przezroczystych oczach, stanowiących kontrast z głęboką czernią gęstych włosów. Lord wskazał jej miejsce w fotelu blisko kominka i sam usiadł przy niej.

— Muszę panu podziękować za wezwanie — rzekła.

Jej duże oczy napełniły się łzami:

— Potrzeba mi pańskiej pomocy. Mam ciężko chorą matkę a wszystko to, co zostawił nam ojciec, zostało już dawno sprzedane. Na wszystkie strony starałam się o zajęcie, Jak się skończyło z mą ostatnią posadą sam wie pan najlepiej. To co spotkało mnie u Browna zdarzało się prawie wszędzie. Och to okropne! Gdy tylko rozpoczynałam jakąś pracę, mój szef, od którego zależałam, starał się mnie uwieść najpierw tysiącem obietnic a później groźbami. Ponieważ stawiałam opór, szybko znajdowałam się na bruku.

— Biedne dziecko! — rzekł lord Lister z współczuciem. Wiem ile dziewcząt zeszło w ten sposób na złą drogę. Powinniśmy biczować tych nędzników, którzy je do tego doprowadzają. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mogę pani pomóc?

Podniosła ku niemu swe rozświetlone słodyczą oczy i rzekła:

— Trudno jest człowiekowi nieprzywykłemu żebrać pomocy. Wiem, że ani jako robotnica, ani jako pracownica biurowa nie będę nigdy dostatecznie uprzejma względem mego szefa.

— Tak, ma pani słuszność — przerwał jej lord Lister, ale zostawmy tę sprawę. Wyjeżdżam w tych dniach w dość długą podróż i pragnąłbym pani dostarczyć zajęcia na czas mej nieobecności. Chodzi mi o przepisanie dużego dzieła. Zajmie to pani niewątpliwie kilka miesięcy. Praca ta pozwoli pani na pozostawanie w domu i pielęgnowanie chorej matki.

Zbliżył się do biblioteki i wyjął z niej pięć grubych tomów historii naturalnej.

Dziś wieczorem służący mój zaniesie te książki do domu pani. Ponieważ jednak nieobecność moja może się przedłużyć, zechce pani przyjąć te pieniądze jako zaliczkę na jej przyszłe wynagrodzenie.

Wyjął z kieszeni portfel i do leżącej na stole koperty włożył sporą ilość banknotów. Z wytwornym ukłonem podał kopertę dziewczynie.

— A teraz droga pani — rzekł nie zostawiając jej czasu na odpowiedź — proszę wrócić do domu i z całym spokojem poświęcić się pielęgnowaniu chorej matki. Jeżeli honorarium, które zaofiarowałem, wy daje się pani zbyt wygórowane, to pozwalam sobie wyjaśnić, że przywykłem płacić wedle moich własnych dochodów, to jest po królewsku. Proszę nie krępować się z wydatkami. W żadnym wypadku niech pani nie uważa się za zobowiązaną w stosunku do mnie. Pieniądze te są zwykłym wynagrodzeniem za pracę.

Do gabinetu wszedł lokaj i zaanonsował:

— Komisarz policji Baxter, ze Scotland Yardu.

— Baxter? — zapytała miss Walton — i wyraz przerażenia pojawił się na jej pięknej twarzy.

— Co się pani stało? — zdziwił się lord Lister.

— Niech mi pan pozwoli opuścić ten dom, aby mnie nie spostrzeżono — rzekła drżącym głosem.— To mój daleki krewny, człowiek twardy i egoista. Gdy zwróciłam się do niego z płaczem, prosząc o pomoc dla mej matki, wyrzucił mnie za drzwi, mówiąc, że ludzie tacy jak my, którzy nic nie potrafią zrobić, powinni rzucić się do Tamizy, gdyż świat i tak na tym nic nie straci.

— Dobry obywatel! — rzekł lord Lister. —Proszę obetrzeć oczy, miss Walton. Niech pani nie myśli więcej o nieludzkiej okrutności tego człowieka. Od dziś ma pani we mnie brata, na którego zawsze może pani liczyć.

Słowa te napełniły serce dziewczyny pokrzepie niem i radością. Utonęła wzrokiem w oczach lorda Listera, szepcząc:

— W jaki sposób będę mogła się panu odwdzięczyć?

Przez chwilę lorda Listera ogarnęło pragnienie, aby otoczyć ramieniem kibić tego młodego i czystego stworzenia i przycisnąć dziewczynę do serca. Opanował się jednak: Nie chciał, aby pomyślała, że w ten sposób szuka sobie rewanżu. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Czuli, że miłość łączy ich niewidzialną a silną nicią. Lord Lister szybko odzyskał panowanie nad sobą. Ukłonił się przed dziewczyną, złożył braterski pocałunek na jej czole. Nie obraziła się.

— Niech pani wróci do siebie, panno Heleno — rzekł, nazywając ją po raz pierwszy po imieniu. — Niech Bóg ma panią w swej opiece. Kto wie, czy wkrótce nie będę potrzebował pani pomocy.

Wymienili krótki serdeczny uścisk dłoni. Lord Lister wezwał lokaja i rozkazał mu wyprowadzić miss Walton tylnym ukrytym wyjściem.

— Za późno dla mnie — szepnął, gdy drzwi zamknęły się za młodą dziewczyną. — Na drodze którą obrałem nie wolno mi wzbudzać miłości. Gdybym ją poznał parę miesięcy temu, życie moje może ułożyłoby się inaczej.

Twarz jego spoważniała. Usiadł znów w głębokim fotelu przy kominku i zapalił papierosa. Zaciągnął się kilkakrotnie wonnym dymem, włożył monokl do oka i z całkowicie obojętną miną wydał lokajowi rozkaz wprowadzenia komisarza policji Baxtera ze Scotland Yardu.

* * *

Kradzież z włamaniem

— Przyszedłem aby pana bronić — oświadczył na wstępie komisarz Baxter po przywitaniu się z lordem Listerem.

Ironiczny uśmiech błąkał się koło warg młodego lorda.

— Mnie bronić? — rzekł. — To bardzo ciekawe. Nie przypuszczałem dotąd, że potrzebuję obrony, Czy jestem aż tak słaby?

Mówiąc to, wyprężył swe atletyczne muskuły i wzrokiem pełnym pogardy zmierzył niższego odeń o całą głowę komisarza.

— Nie chodzi tu o zamach na pańską osobę — odparł.

— Nie radziłbym nikomu próbować — zaśmiał się lord. Mam za sobą kilka nagród bokserskich

oraz zwycięstw w walkach francuskich. W klubie moim uważają mnie za najlepszego w szpadzie i na pistolety. Jeśliby pan chciał potrzymać między dwoma palcami pół pensa, obowiązuję się wytrącić je panu jednym strzałem, nie czyniąc przy tym nic złego.

— Bardzo dziękuję... — odpowiedział Baxter— Powtarzam panu, że nie idzie tu o pańską osobę, ale o pieniądze.

Lord Lister wskazał niedbałym ruchem na kasę pancerną.

— Całe moje pieniądze tam się znajdują. I są bezpieczne. Gdyby ktoś chciał je wykraść, natrafiłby niewątpliwie na poważne trudności.

— Mimo wszystko, jeden z najgroźniejszych złoczyńców londyńskich zamierza złożyć panu dziś wizytę i zabrać to co pan posiada cennego.

Lord Lister wybuchnął śmiechem.

— Doskonały kawał! — rzekł. — Skąd wiadomo, że ktoś zamierza mnie okraść?

Policjant przybrał ton wyższości, który szczerze ubawił Listera:

— Scotland Yard słyszy i wie wszystko. Nie bez powodu jesteśmy najlepszą policją świata.

— Co do tego nie ma wątpliwości! — rzekł młody arystokrata z odcieniem ironii.

Baxter wyczuł kpiny i odparł zdenerwowany:

—Wasza lordowska mość ma na myśli prawdopodobnie naszą ostatnią porażkę z Rafflesem, z Tajemniczym Nieznajomym? Twierdzą niektórzy, że po tym fakcie powinniśmy być nieco skromniejsi.

— Oczywista — odparł lord Edward zapalając drugiego papierosa. — Przyznaję, że ta strona waszej historii nie przysporzyła Scotland Yardowi sławy.

— Zgadzam się z panem, ale mamy tu do czynienia z genialnym przestępcą. Nawet taki geniusz jak Nick Carter nie potrafiłby z nim sobie dać radę. Nawiasem mówiąc mamy nadzieję, że schwytanie tego niebezpiecznego ptaszka nastąpi niezadługo.

Lord Lister zaciągnął się dymem swego papierosa i rzekł po chwili milczenia:

— Nie wydaje mi się, abyście mogli być tego pewni,.. Wracając do naszej sprawy, muszę przyznać, że złodziej, który ma zamiar mnie dziś odwiedzić, mógłby się ucieszyć niezgorszym łupem. Zarobiłem wczoraj na giełdzie 20.000 funtów sterlingów i nie zdążyłem ich jeszcze złożyć w banku. Przyjąłem jednak pod uwagę możliwość kradzieży, dlatego też nie umieściłem wszystkiego w jednym miejscu. Połowa znajduje się w kasie ogniotrwałej, reszta zaś w szkatule żelaznej stojącej pod łóżkiem mojej sypialni. Ot tam... Przez otwarte drzwi widać było żelazną kasetę, umieszczoną na dywanie tuż obok łóżka.

— Dość praktycznie pomyślane — odparł Baxter. — Ale nie jest wykluczone, że złodziej po opróżnieniu kasy sięgnie również i po kasetę!

— O, to mi jest obojętne — oświadczył lord Edward — jestem ubezpieczony w dobrym towarzystwie od kradzieży. Nie przejmuję się niczem. Musieliby mi zwrócić pieniądze.

Zapanowało krótkie milczenie, które przerwał komisarz:

— Dla mnie i dla Scotland Yardu najważniejszą jest sprawa schwytania złodzieja. Dlatego też zwracam się do pana o zezwolenie czuwania nad mieszkaniem pańskim dzisiejszej nocy.

— Bardzo chętnie — odparł lord Lister. — Wszystko jest tu do pańskiej dyspozycji. Muszę pana jednak przeprosić: Jest godzina za piętnaście minut ósma: punktualnie za kwadrans mam spotkać się z przyjacielem. Służący mój — tu lord Lister nacisnął na guzik dzwonka — będzie służył informacjami oraz pomocą. Ale à propos, panie Baxter, czy nie wie pan, który z przestępców ma mnie zaszczycić dzisiaj swoją wizytą?

— Oczywiście: sławny Raffles we własnej osobie — odparł komisarz.

Raffles! u licha! toż to najlepsza okazja, aby zapoznać się z tą ciekawą osobistością. Przeproszę mego przyjaciela, że na skutek nagłej przeszkody nie mogę się z nim spotkać... W ten sposób dotrzymam panu towarzystwa. Być może wspólnymi siłami uda nam się położyć kres sprawkom Rafflesa!

— Przyjmuję to jako dobrą wróżbę — odparł Baxter.

— Jeżeli oczywista przyjdzie — rzucił lord Lister. W każdym razie, biorę automobil i śpieszę do teatru, aby powiedzieć memu przyjacielowi, że dzisiejszego wieczora jestem zajęty. Około godziny dziesiątej będę z powrotem.

— Ja zaś muszę wydać rozkazy moim ludziom — rzekł Baxter wychodząc.

Lord Lister pożegnawszy się krótko, przeszedł przez sypialnię, włożył na siebie futro i wyszedł.

Tymczasem Baxter porozumiał się z czterema agentami, którzy wraz z nim byli u bankiera Gordona, co do planu dalszej akcji i podzielił role: On sam miał zainstalować się w gabinecie lorda Listera i tam spędzić noc, dwóch agentów miało pełnić straż na korytarzu, trzeci przed domem, czwarty na piętrze. W ten sposób nic nie mogło ujść ich uwadze. Następnie komisarz wezwał do siebie lokaja i wraz z nim powrócił do gabinetu. Obydwa pokoje tonęły w ciemnościach. Lokaj zapalił elektryczność i pokazał Baxterowi, że wyłądznik znajduje się przy kominku.

Następnie weszli do sypialni. Szerokie rozsuwane drzwi, których skrzydła ukrywały się w ścianie, oddzielały sypialnię od gabinetu. Tylko jedno małe okratowane okienko dawało pokojowi temu światło. Drzwi na lewo prowadziły do łazienki. Ani sypialnia, ani kąpielowy nie posiadały oddzielnego wejścia. Przedostać się było można do nich jedynie przez gabinet. Komisarz obejrzał wszystko uważnie. Podniósł kołdrę, spojrzał pod łóżko, otworzył szuflady i szafy. Ostrożność swą posunął tak daleko, że z szafy wyjął wszystkie ubrania, aby przekonać się, czy ktoś nie jest za nimi ukryty.

Drobiazgowość ta ubawiła mocno lokaja.

— Przed panem nie skryłoby się ani źdźbło słomy, ani ziarenko kurzu! — dodał.

— Właśnie w tym celu to robię — rzekł Baxter, pusząc się dumnie. — Nic nie może ujść naszej uwadze.

— Czy nie jestem panu potrzebny? — zapytał służący.

Baxter odparł mu, że może udać się na spoczynek. Lokaj opuścił pokój i Baxter został sam w gabinecie. Policjant zagłębił się w fotel, stojący przy kominku i zabrał się do czytania wieczornych pism. Minęła godzina. Dtektyw wyjął z kieszeni małą latarkę elektryczną, jaką posiadają wszyscy agenci policji. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku — położył latarkę na kominku i wrócił do swego fotela.

Przełożył rewolwer do innej kieszeni, aby w razie potrzeby mieć go pod ręką.

Nic nie zakłócało głębokiej ciszy, w której pogrążony był cały dom. Najmniejszy szmer nie zdradzał obecności detektywów.

Wielkie drzwi gabinetu zionęły ciemnością, jak czeluść głębokiej pieczary. Gdy wzrok jego przyzwyczaił się do mroku, Baxter począł rozróżniać mgliste kontury przedmiotów. W ciszy rozbrzmiewał monotonny odgłos wielkiego zegara. Głęboki dzwon jego wybił godzinę dziesiątą.

Nagle Baxter nadstawił uszu, wstrzymując oddech. Gdy zamilkł dźwięk ostatniego uderzenia — od strony sypialni dał się słyszeć ostrożny szelest, szelest otwieranego zamka.

Krew na chwilę zatrzymała się w żyłach i fala domysłów zalała mózg. Czyżby to było złudzenie? Wydawało się rzeczą niemożliwą, aby ktokolwiek mógł dostać się do pokoju. Zrewidował przecież wszystko i chyba jedynie w powietrzu mógłby się ukryć złodziej. Dał się słyszeć metaliczny suchy trzask: ktoś wyraźnie otwierał zamek. Momentalnie schwycił za rewolwer i zapalił elektryczną latarkę. Promień radości zajaśniał w jego oczach: „Nareszcie w potrzasku" pomyślał przeżywając naprawdę moment silnego wzruszenia. W sypialni tuż obok żelaznej kasety znajdował się człowiek, w eleganckim wieczorowym ubraniu, w nieskazitelnie lśniącym cylindrze i czarnej masce, która zakrywała mu twarz.

— Ani kroku dalej! — zawołał komisarz rozkazująco— Stać bo strzelam!

Zamaskowany człowiek ze swej strony podniósł rewolwer, tak, że Baxter uznał za stosowne zgasić latarkę. Ciemności bowiem strzegły go przed celnością strzału. Jednocześnie dał ognia. Strzał widocznie chybił, ponieważ nastąpiła rzecz całkiem niespodziewana. Zamaskowany człowiek doskoczył do rozsuwanych drzwi i zamknął je, zanim komisarz zdążył zdać sobie z tego sprawę. Zwabieni odgłosem strzału, wywiadowcy zbiegli się do gabinetu. Baxter zapalił światło:

— Mamy go nareszcie, tego wspaniałego Rafflesa! Siedzi w sypialni jak mysz w pułapce. Uwaga, chłopcy, rewolwery w ręce i naprzód!

Podbiegł do drzwi wiodących do sypialni i otworzył je szeroko.

Agenci zatrzymali się w progu. Pokój zalegały ciemności, w których błyszczały jedynie metalowe refleksy otwartej kasety. Zapalono światło. Agenci przystąpili do przetrząśnięcia łóżka i otworzenia szafy: Nie znaleziono nikogo.

— Napewno skrył się w łazience — rzekł detektyw Marholm, biegnąc do zamkniętych drzwi.

Przypuszczenie jego było prawdopodobnie trafne, gdyż drzwi łazienki zamknięte były od wewnątrz. Wspólnymi siłami detektywi rzucili się całym swym ciężarem na drzwi. Były dość silne i zamek nie ustępował łatwo. Dopiero po kilkakrotnie ponawianych wysiłkach udało im się wyważyć drzwi. Zbyteczny trud: — ani śladu złodzieja! Podczas gdy agenci, opanowani jedną tylko myślą aby czemprędzej dostać się do łazienki, nie zwracali uwagi na to co działo się w sąsiednim pokoju, — drzwi olbrzymiego flamandzkiego zegara otwarły się nagle i wyszedł z nich zamaskowany mężczyzna.

Zegar ten, jak wiadomo, stał na ścianie, dzielącej gabinet od łazienki tuż obok rozsuwanych drzwi. W tylnej ścianie zegara znajdował się tajemniczy otwór, wychodzący na łazienkę. Gdy drzwi pomiędzy gabinetem a pokojem sypialnym były otwarte, rozsuwane skrzydła wchodzące w ścianę zasłaniały otwór. Detektywi, pochłonięci poszukiwaniem złodzieja, nie spostrzegli tego mechanizmu.

Przez chwilę zamaskowany mężczyzna przyglądał się wysiłkom detektywów. Następnie zdecydowanym ruchem zasunął drzwi i zamknął je na klucz. W ten sposób został on na pewien czas oddzielony od detektywów, zamkniętych poza obrębem gabinetu. Z zimną krwią zbliżył się do kasy żelaznej, otworzył ją kluczem specjalnym, który miał przy sobie, wyjął znajdujący się w niej plik papierów i po chwili zniknął.

Zrozpaczeni wywiadowcy rozpoczęli atakowanie rozsuwanych drzwi. Wspólnymi siłami po kilku minutach udało im się wyłamać je i wyjść z zasadzki. Pomimo podniecnia, w jakim się znaleźli — stanęli nieruchomo na widok otwartej, ziejącej pustką kasy żelaznej.

— Do pioruna! — krzyknął Baxter zgrzytając zębami. — Szatan wplątał się w tę aferę! To nadprzyrodzone sztuczki. W kasie nie ma ani grosza...

Nie będzie więc trzeba spisywać protokółu zawartości. — rzucił Marholm ironicznie. Ani jeden muskuł nie drgnął w jego nieruchomej twarzy.

— Naprzód! musimy go schwytać! — krzyknął komisarz, biegnąc w kierunku drzwi wejściowych. Detektywi posłusznie wybiegli za nim. Na korytarzu natknęli się na lorda Listera, rozmawiającego z swym przyjacielem Charlesem Brandem.

— Dobry wieczór panom! — rzekł lord Edward — Dokąd tak śpieszycie, panie Baxter?

— Czy nie widział pan Rafflesa? — krzyknął komisarz.

— Ja? skąd? — odparł lord Lister z uśmiechem. Wracam z teatru. Wstąpiłem do klubu zaledwie na kilka chwil, ponieważ chciałem wziąć udział w schwytaniu przestępcy. Czyście go złapali?

— Do licha — odparł komisarz — żarty na bok. Widziałem go tak, jak pana widzę. Był tam w pańskiej sypialni i zrabował zawartość kasety...

— Tak? Cóż dalej? — zapytał młody lord z wspaniałym spokojem. — Pozwoliliście mu panowie umknąć?..

Baxter nie odpowiedział, natomiast agent, zwany Pchłą, odparł za niego:

— Istotnie, pozwoliliśmy mu łaskawie umknąć, ułatwiwszy mu tę ucieczkę dzięki sprytnej uprzejmości naszego szefa.

— Dość żartów — wrzasnął Baxter z wściekłością. — Ten człowiek, pamiętajcie me słowa, zawarł pakt z szatanem... Jest nieuchwytny! Zdołał uciec z tego pokoju pomimo mojej czujności. Wraz z najlepszymi mymi agentami strzegłem tych drzwi —jedynego dostępu do tego pokoju, o czym pan chyba wie najlepiej. Gdy tylko spostrzegłem go w sypialni, udało mu się szybko zamknąć rozsuwane drzwi; mimo to natychmiast wdarłem się do pokoju tego wraz z mymi agentami. Podczas gdy staraliśmy się dostać do łazienki, gdzie wedle naszych przypuszczeń musiał się ukryć — powrócił cudem do pańskiego gabinetu i zamknął na klucz rozsuwane drzwi.

Co za przedziwny człowiek! Przypuszczam, że zdążył się wykąpać w między czasie? — zaśmiał się lord Edward.

O nie, proszę Pana, do tego nie doszło — wtrącił się detektyw Marholm — musiał jednak uciec przez rury wodociągowe w czasie gdyśmy go szukali w pustej łazience. Zdążył w naszej nieobecności zoperować pańską kasę żelazną i skraść całą jej zawartość.

Widzicie Baxter — zaśmiał się lord Edward — Raffles raz jeszcze dotrzymał danego słowa!

Ten człowiek przyprawi mnie o szaleństwo, mówię to dawno! — jęknął Baxter.

Lord Edward Lister zbliżył się do pustej kasety żelaznej. Z ust jego nie schodził spokojny usmiech. Skinął na sekretarza, który przybiegł natychmiast. Wyciągnął z portfelu polisę asekuracyjną i wręczył Brandowi.

Jutro wczesnym rankiem — rzekł — udasz się do siedziby towarzystwa i złożysz oświadczenie o wysokości skradzionej sumy... Całkiem nieprawdopodobna historia! Muszę przyznać, że Raffles, to prawdziwy geniusz... Dokonać kradzieży, mimo iż dom był silnie strzeżony przez najlepsze siły Scotland Yardu!

Zwrócił się do Baxtera i jego ludzi:

A teraz panowie zechciejcie przyjąć ode mnie dobrą radę: Jeśli kiedykolwiek Raffles zakomunikuje wam, że zamierza popełnić u mnie kradzież z włamaniem lub bez — nie fatygujcie się i pozwólcie mu działać...Jeśli bowiem idzie o przyglądanie się kradzieży i wypuszczenie sprawcy jej — potrafię to zrobić równie dobrze jak i wy.

Komisarz Baxter z przykrością wysłuchał ironicznych słów lorda. Speszony pożegnał się szybko i wyszedł w towarzystwie swych ludzi.

Skoro drzwi zamknęły się za policją, lord Lister wybuchnął serdecznym śmiechem:

Jutro jedziemy do Paryża — rzekł do swego przyjaciela Charly. — Od dawna chcę złożyć wizytę memu dawnemu przyjacielowi, który zamieszkuje to miasto.

Dobrze! — odparł Charles Brand. Nic nie rozumiem z tej afery. Czy naprawdę miałeś 20.000 funtów sterlingów w kasie żelaznej i w kasecie?

Nie — oświadczył spokojnie lord. Zarówno w jednej jak i w drugiej mogłeś znaleźć jedynie niezapłacone rachunki.

Hm — chrząknął Charly z niezdecydowanym wyrazem twarzy. Wyglądało to tak, jak gdyby Charly obawiał się zrozumieć zbyt wiele. — To nie wydaje mi się wyraźne.

—Mój chłopcze, czy nie rozumiesz, że ten pakiet niezapłaconych rachunków, który policja pozwoliła skraść niejakiemuś Rafflesowi, przyniesie nam 20.000 funtów sterlingów, wypłaconych przez kasę Towarzystwa Ubezpieczeń? Obojętne, czy w kasie znajdowało się tyle pieniędzy. Grunt, że komisarz policji i jego agenci stwierdzą, że taka była wysokość łupu i że towarzystwo zobowiązane będzie wypłacić mi tę sumę. W przeciwnym razie do czego by ono wogóle było potrzebne? Nie wypełniłoby swego głównego zadania!

—Na Boga, to wspaniała myśl! — rzekł zdumiony Charles Brand — Ale jakimż cudem udaje ci się od pewnego czasu kroczyć śladami Rafflesa?

Lord Lister wyjął papierosa ze swej złotej papierośnicy. Puszczając wolno w sufit kłęby dymu, rzekł z tajemniczym uśmiechem:

— Drogi przyjacielu, nie trzeba abyś wiedział o tym zbyt wiele. — Bądź zawsze moim wiernym i dobrym Charly i niech to ci wystarcza. Proś Boga, abyś zawsze rozumiał tyle, ile potrzeba. Co do Raffle sa, mogę ci wyznać tylko jedno. — To mój ideał.

Atak podziemnego świata

Natychmiast po wyjściu agentów policji ,bankier James Gordon skręcił na Oxford Street w pierwszą uliczkę na prawo i skierował się w stronę Tamizy. Tramwajem elektrycznym przedostał się na London Bridge. Na północ od tego sławnego mostu i od Tower rozciąga się najgęściej zaludniona a zarazem najniebezpieczniejsza dzielnica Londynu. W labiryncie ulic, w starych murach domów, odrapanych składach, sklepach ze starzyzną i wiktuałami, wśród knajp marynarskich i domów gry znajduje swój przytułek prawdziwa nędza i świat przestępczy, świat który wśród dnia szuka mroków a na łowy wychodzi tylko nocą. Większość z tych podejrzanych spelunek łączy się z sobą za pomocą podziemnych przejść, tworzących pod ziemią drugie miasto. Jeden z tego rodzaju sklepów cieszących się złą sławą należał do Irlandczyka Governa, łotra i lichwiarza znanego policji pod nazwą Czarnego Jacka. Wywiadowcy z Scotland Yardu uważali go za najbardziej chytrego i sprytnego pasera w całym Londynie. Jakkolwiek znajdował się w najjawniejszym kontakcie z wszelkiego rodzaju złodziejami kieszonkowymi apaszami, dziewczynami i sutenerami, policji nie udało się dotąd natknąć się u niego na towar pochodzący z kradzieży. Czarny Jack potrafił wspaniale kryć owoce swoich przestępstw. Opowiadano, że w centrum Londynu posiadał kilka nieruchomości i że zainteresowany był finansowo w paru bardzo poważnych przedsiębiorstwach handlowych. Lokal, który zajmował, pełen był najróżniejszego towaru: baryłki z sucharami i z amerykańskim szmalcem, sztuki jedwabiu, sztaby metalowe, stosy ubrań, meble, przesiąknięte zapachem ryb i oliwy, zapełniały tak szczelnie pierwszy pokój, że z trudem pozostawiały wąskie przejście. Przez ten pokój przechodziło się do głównego kantorku, gdzie za zakurzonym biurkiem siedział Czarny Jack, od rana do północy obsługujący swą klientelę. Naftowa lampa, kiedyś używana na okręcie, słabo oświetlała pokój. Bankier Gordon i Govern przywitali się serdecznie, jak najlepsi znajomi. Od szeregu lat ci czcigodni obywatele prowadzili razem podejrzane interesy. Jak zwykle, gdy bankier Gordon składał mu wizytę, Govern z za małego kontuaru dotknął guziczka: ukryty mechanizm zamknął automatycznie drzwi wejściowe. Zabezpieczywszy się w ten sposób przed niepożądanymi wizytami, Gavern poczęstował bankiera cygarem.

— Najlepsze na świecie cygara! Dopiero wczoraj przybyły prosto z Hawany do portu a już dziś rano mi je przyniesiono. Niestety, skradziono zaledwie pięćdziesiąt sztuk. Były pilnie strzeżone, gdyż przeznaczone są dla królewskiego dworu.

Mimo wyjątkowego smaku i dostojnego ich przeznaczenia, James Gordon nie odczuwał przyjemności z palenia. Zaciągnął się kilka razy i ze zdenerwowaniem opowiedział mu swą przygodę z Rafflesem.

— Pokażę mu z kim miał do czynienia! — rzekł zaciskając pięści. — Zapłaci mi drogo za figiel, który mi spłatał. Nóż pod żebro i będziemy skwitowani...

Przyjaciel podrapał się z zafrasowaniem w swą wełnistą czuprynę.

— Mój drogi — rzekł po namyśle — wszystkie nasze dotychczasowe interesy powiodły się nieźle i rozumiesz chyba, że łatwo nie pozwoliłbym obrażać swego przyjaciela. Ale w tym wypadku waham się. Stajesz do walki z człowiekiem, którego dotąd nikt zwyciężyć nie potrafił. Przede wszystkim musimy się dowiedzieć kim on jest istotnie?

Bankier nachylił się do ucha swego przyjaciela i szepnął:

— To lord Lister!

Na dźwięk tego nazwiska Govern stłumił w so-

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

bie okrzyk zdumienia i spojrzał na bankiera osłupiałym wzrokiem:

— Skąd ty o tym wiesz? — zapytał po długim milczeniu.

Gordon wyciągnął z kieszeni list. Na kopercie Czarny Jack odczytał następujący adres. „Wielmożny Pan Lyon, Londyn, Strand nr. 11".

— Przecież to twój własny sekretny adres? — rzekł.

— Tak. — odparł bankier — Przypadkiem wstąpiłem tam idąc tutaj. Chciałem się przekonać czy nie było poczty i znalazłem ten oto list. Czytaj.

Jack wyjął z koperty list i odczytał głośno:

Drogi panie.

Na zlecenie bankiera Jamesa Gordona pragnę zwrócić panu jego depozyty, tytuły dłużne i zobowiązania. W sprawie tej proszę zgłosić się do mnie dziś wieczorem.

Lord Lister — Regent's Park 2.

Przeczytał treść listu po raz wtóry.

— Nic nie rozumiem! — rzekł wreszcie.

— Ale ja rozumiem! — krzyknął James Gordon. — Słuchaj! Raffles zabrał wszystkie moje weksle oraz inne zobowiązania. Ponadto wziął ze sobą książkę dłużną, gdzie zapisuję rachunki moich klientów. W książce tej odnalazł adresy i napisał listy, aby zwrócić mym dłużnikom dowody ich długów. Jak wiesz, mam w banku angielskim otwarte konto na nazwisko Lyona. Raffles oczywista o tym nie wiedział i sądził, że Lyon był, jak inni, moim klientem. Napisał więc do niego list i podpisał nazwiskiem lorda Listera. Wynika z tego jasno, że lord i Raffles są jedną i tą samą osobą.

— Do diabła — krzyknął paser. — To zupełnie wariacka historia!

— Czy masz coś odpowiedniego pod ręką? — zapytał Gordon nie zwracając uwagi na podniecenie swego przyjaciela. — Potrzeba mi natychmiast dwóch najlepszych włamywaczy. Muszę jeszcze dziś wieczorem udać się z nimi razem do tego łotra i odzyskać mój majątek, zanim zdąży go rozdzielić pomiędzy mych dłużników.

— Dobrze, ale ja nic nie rozumiem z tego wszystkiego? — odparł Jack czytając list poraz dziesiąty. — Przecież to czysty wariat! Jak dotąd, nie spotkałem jeszcze złodzieja, kradnącego dla dobra i przyjemności bliźnich. Kimkolwiek jest — zaraz wezwę tutaj dwóch moich najlepszych ludzi.

Ujął koniec akustycznej tuby, której połączenie znajdowało się w podziemiach i powiedział parę słów. Po upływie kilku minut dały się słyszeć z daleka trzy miarowe nawoływania.

— Są... Za chwilę będą tutaj — rzekł Jack do swego przyjaciela.

Nie upłynął kwadrans, gdy w starej szafie stojącej z boku dał się słyszeć lekki szelest. Handlarz starzyzną podniósł się z za kontuaru i otworzył drzwi tego antycznego mebla. Rozchyliwszy wiszące ubrania, dwaj podejrzani osobnicy wyskoczyli z szafy i podejrzliwym wzrokiem zmierzyli bankiera.

Jack uporządkował starannie ubrania, zamknął szafę i zwrócił się do Gordona.

— To moje tajne przejście do podziemi. Wyratowało ono od szubienicy wielu ludzi, ściganych przez psy Scotland Yardu.

Następnie zwracając się do obydwóch apaszów rzekł:

— Dzieci, mam dla was robotę...

— Dobra, — odpowiedział wyższy, którego twarz przecięta była blizną, pozostałą po cięciu nożem. Blizna ta biegła od ucha do podbródka. Otrzymał ją na pamiątkę od swych dawnych towarzyszy za zdradzenie jednego z nich wywiadowcom Scotland Yardu. W świecie przestępczym nadano mu przydomek Wieprz. Jego towarzysz, mniejszy od niego i pozbawiony jednego ucha, nosił nazwę Zając.

— Co mamy zoperować dzisiaj, przyjacielu? — zapytał.

Govern, czyli inaczej Czarny Jack, zaciągnął się dymem cygara i odparł:

— Pójdziecie z tym panem i otworzycie kasę ogniotrwałą. W magazynie znajdziecie palnik gazowy i wszystkie potrzebne narzędzia.

Lichwiarz wraz z włamywaczami wyszli razem ze spelunki pasera. Skierowali się w stronę samotnie stojącego budynku będącego „magazynem" — o którym mówił Czarny Jack. Zabrawszy przyrządy potrzebne do dokonania włamania i rozprucia kasy ogniotrwałej — zawołali fiakra i udali się na Regent's Park. W pobliżu pałacyku lorda Listera wysiedli z dorożki i poczęli zastanawiać się z której strony dostęp będzie najłatwiejszy. Mimo swej ostrożności nie spostrzegli ukrytych w ciemnościach dwóch postaci: Byli to detektyw Marholm i wywiadowca Tyler. Pozostawił ich Baxter, polecając pilnować pałacyku, w którym wedle jego przeświadczenia musiał się jeszcze znajdować włamywacz. Z zachowaniem wszelkich ostrożności ludzie Czarnego Jacka wyjęli szybę z okna parterowego. W ten sposób mieli już otwartą drogę do wnętrza mieszkania lorda. James Gordon mimo swego strachu musiał iść tą samą drogą.

Detektyw Marholm zatarł z zadowoleniem ręce.

— Mamy niebywałe szczęście — szepnął wywiadowcy do ucha — do diabła, jestem pewien, że jutro dostaniemy awans!

Ścisnął mocno ramię kolegi i szepnął mu podnieconym tonem:

— Na Boga, Tyler, jeśli nie zgłupiałem z kretesem, to ten który teraz przeciska się przez okno, jest nikim innym jak bankierem Gordonem we własnej osobie... Ten sam, któremuśmy wczoraj złożyli wizytę!

— Niemożliwe! — rzekł wywiadowca Tyler. Przyglądał mu się przez kilka sekund poczem kiwnął ze zdumienia głową:

— Masz rację Marholm — odparł — stawiam funta przeciwko pensowi, że to jest James Gordon.

— Bez wątpienia. Rozumiecie więc teraz dlaczego ten zuch, jakkolwiek został okradziony przez Rafflesa, przeczył temu kategorycznie. Nie chciał abyśmy wkroczyli w jego podejrzane interesy.

— Tak, to oczywiste — potwierdził wywiadowca.

— Ho, ho — zaśmiał się Marholm — zawsze byłem zdania, że posiadasz więcej rozumu niż na to wyglądasz.

— Bez głupich żartów! —mruknął wywiadowca urażony. — Nie każdy może być geniuszem. Odkąd dwaj czy trzej wielcy detektywi olśnili cały świat swymi wyczynami, wymaga się od nas, biednych agentów Scotland Yardu, abyśmy odnajdywali ślad przestępcy po powietrzu, którym oddychał...

— To całkiem dobra idea, — rzekł Marholm, dla którego wszystko stawało się tematem kpin. — Podszepnij to naszemu szoferowi. Hop, otóż i mamy ich w środku. Gdybyż ci chłopcy wiedzieli, że cały ten trud jest próżny, jak wnętrze ogniotrwałej kasy! Ale obojętne... Biegnij do najbliższego telefonu... Znajdziesz go przy piątej latarni, licząc od miejsca

w którym stoimy... Zakomunikuj wszystkim Scotland Yardowi...

— Idę — rzekł wywiadowca, oddalając się śpiesznie.

Gdy wrócił po upływie kwadransa, obydwaj wślizgnęli się do pałacu tą samą drogą, którą obrali włamywacze. Tłumiąc odgłos kroków, doszli do piętra, na którym znajdował się gabinet oraz sypialnia lorda Listera „Stać bo strzelę!" — usłyszeli nagle głos dobiegający z małego przedpokoju.

Do uszu ich doszły przekleństwa i odgłos rewolwerowych strzałów .Rzucili się w kierunku drzwi wiodących do gabinetu i wpadli na uciekających w popłochu przestępców. Marholm zdzielił potężnym ciosem pięści włamywacza zwanego Wieprzem i wykręciwszy mu rękę wedle wszelkich przepisów Jiujitsu, rozłożył go na ziemi bez przytomności. Zwinniejszy i mniejszy Zając zdołał wymknąć się i otworzywszy okno zeskoczył odważnie z pierwszego piętra.

— Dobry wieczór panom! — zabrzmiał dźwięczny głos — Jak panowie widzą, nie pozwalam się okraść po raz wtóry.

Jednocześnie zabłysło światło elektryczne. Ciekawy widok roztoczył się przed zdumionym wzrokiem detektywów: Obok kasy ogniotrwałej tulił się trwożnie do ściany James Gordon. Napróżno starał się ukryć: wywiadowca Tyler zbliżył się doń szybkim krokiem i nałożył kajdanki. Lichwiarz — trzęsąc się ze strachu i z nienawiści obrzucił złym wzrokiem detektywów i lorda Listera. Na widok tego ostatniego diabelska radość zajaśniała w jego oczach.

— Udały się wam łowy, panowie — krzyknął w stronę detektywów.

— To pewne! — rzekł śmiejąc się Marholm, zajęty nakładaniem kajdanków na Wieprza, ciągle jeszcze nieprzytomnego — poszukiwaliśmy tego młodzieńca od dłuższego czasu. Może liczyć conajmniej na dwadzieścia lat ciężkich robót.

— O nie! — krzyknął James Gordon — nie o tym myślę. Mówiłem poprzednio o tym człowieku, — rzekł wskazując na Listera.

— Ten, któregoście schwytali — to sam Raffles — dodał.

—Oszalał zupełnie i gada od rzeczy — rzekł wywiadowca, wybuchając śmiechem.

— Chcesz teraz strugać wariata — zapytał chytrze Marholm — o nie, mój drogi, —dodał — nie pozwolimy ci prowadzić się za koniec nosa.

— Przysięgam wam, panowie! — zaczął znów bankier drżąc na całym ciele — Zatrzymajcie tego człowieka! Zapewniam was , że to Raffles!

— Milczeć! — rzekł rozkazująco wywiadowca. — Nie znieważaj lorda Listera!

Przed domem zatrzymało się auto policyjne z wywiadowcami z Scotland Yardu. Rozległ się głos komendy i po chwili cały pałacyk wypełnił się agentami policji. Po krótkim wyjaśnieniu, udzielonym przez detektywa Marholma, komisarz Baxter polecił odstawić bankiera do Scotland Yardu. Lichwiarz powtarzał w kółko swe oskarżenia skierowane przeciwko lordowi Listerowi, błagając komisarza i jego ludzi o danie wiary jego słowom. Widząc, że oskarżenia jego padają w próżnię, począł kląć i złorzeczyć jak opętany. Miotał się, potrząsał dłońmi gestem rozpaczy, wykrzykując nieustannie: Oto Raffles! oto Raffles!

— Zabrać go! — rozkazał lakonicznie Baxter— Symuluje obłęd!

Cztery silne dłonie zwaliły się na Gordona i wyciągnęły go z pokoju. Inni detektywi wyszli za nim. W ogrodzie znaleziono Zająca, który skacząc z pierwszego piętra złamał nogę. Leżał tuż obok garażu, do którego dowlókł się resztkami sił. Detektyw Marholm, który ostatni wsiadł do policyjnego auta, ujrzał w jasno oświetlonym oknie wytworną sylwetkę lorda Listera z papierosem w ustach, przyglądającego się ich odjazdowi.

* * *

Lord Lister przeciwko Scotland Yardowi

Nazajutrz około godziny dziesiątej rano przedstawiciel Towarzystwa Ubezpieczeń zgłosił się do Komisarza Policji celem zasięgnięcia informacji o włamaniu, którego ofiarą padł lord Lister.

— To niesłychane! — oświadczył komisarz — Raffles kpi sobie wyraźnie ze mnie i z wszystkich innych. W moich oczach dokonał kradzieży, mogę na to przysiąc.

— Nie do wiary! — odparł wysłannik Towarzystwa. — Trudnoby naprawdę przyjąć możliwość tego faktu, gdyby się nie słyszało potwierdzenia z ust pańskich. Czy widział pan skradzione papiery?

— Tak, — zapewnił komisarz. — Przekonałem się naocznie o istnieniu pieniędzy.

— Zechce pan łaskawie podpisać deklarację dla mojego Towarzystwa.

To mówiąc agent wyjął z teczki formularz, stwierdzający, że wysokość sumy skradzionej u lorda Listera wynosiła 20.000 funtów sterlingów. Nie wahając się ani przez chwilę, Baxter podpisał deklarację. Przedstawiciel zabrał ją i wyszedł.

Po jego wyjściu komisarz policji wydał nakaz sprowadzenia bankiera Gordona i jego wspólników.

Więźniowie otoczeni agentami policji zjawili się wkrótce w gabinecie szefa. Na dźwięk swego nazwiska James Gordon stanął przed komisarzem. Zdawał sobie sprawę, że żadne wykręcanie ani chytre sztuczki nie mogą go wydostać z więzienia i postanowił, nie ukrywając prawdy, pociągnąć za sobą tego, który był przyczyną jego nieszczęścia. Zaczął opowiadać w jaki sposób postanowił dokonać włamania u lorda Listera i dlaczego poprzedniego dnia nie chciał wyjawić policji szczegółów dokonanej u niego kradzieży. Na dowód że mówi prawdę złożył list, który poprzednio odczytał przyjacielowi swemu, Governowi.

Zeznanie to zrobiło olbrzymie wrażenie na obecnych. Zrozumieli wreszcie, że tajemniczy nieznajomy, genialny Raffles został zdemaskowany i że wystarczy wyciągnąć rękę, aby schwytać najwspanialszą zdobycz, jaką dotąd Scotland Yard zdołał upolować.

— Dlaczego nie powiedział pan tego wcześniej? — krzyknął z wściekłością Baxter. — Wie pan przecież, że **wyznaczono 1000 funtów sterlingów nagrody za schwytanie Rafflesa?**

— Mówiłem to już na wszystkie sposoby, ale nie chcieliście mi wierzyć — odparł James Gordon.

— Można stracić głowę z rozpaczy! — rzekł komisarz, przemierzając wielkimi krokami swój gabinet. Nagle odzyskując panowanie nad sobą, zakomenderował krótko:

— Naprzód chłopcy, tym razem nam nie umknie! Okrążymy go w jego własnej jamie. Jeszcze przed wieczorem wpadnie w nasze ręce!

Przy bramie Scotland Yardu Marholm zwrócił się do komisarza Baxtera.

— Uważa mnie pan za złego detektywa... Temnie mniej jednak uważam za swój obowiązek zwrócić panu uwagę na rzecz, która pana specjalnie winna interesować. Wiem, że godzinę temu reprezentant Towarzystwa Asekuracyjnego złożył panu wizytę. Należałoby, zdaniem moim, zawiadomić przede wszystkim Towarzystwo, aby nie czyniło żadnych wypłat lordowi Listerowi, alias Johnowi Raffles aż do momentu otrzymania nowego rozkazu w tym względzie.

— Do pioruna! — zawołał Baxter — biegnąc z powrotem. — Ma pan rację — zapomniałem o tym zupełnie. Biegnę do telefonu. Chodź pan razem ze mną! Jakkolwiek połączenie otrzymał prawie natychmiast, Baxter doznał nowego niemiłego rozczarowania. Dowiedział się, że Raffles ubiegł go znowu i że Towarzystwo zdążyło mu już wypłacić premię ubezpieczeniową. Zły i zdenerwowany, komisarz wrócił do grupy agentów, oczekujących nań i auto ruszyło pełnym gazem w stronę Regent's Parku.

W tym samym czasie lord Lister obojętny na czyhające niebezpieczeństwo — w gabinecie swym kończył pakowanie walizek. Lokaj miał właśnie włożyć bieliznę do sporego kufra, gdy wszedł Charles Brand. Sekretarz zdjął palto i kapelusz. Lord Lister spoglądając na otwarty kufer zdawał się zastanawiać przez chwilę.

— Nie, zdecydowałem się nie zabierać z sobą tego kufra, — rzekł półgłosem — byłoby to z mej strony wielkim błędem.

— Przyda się w podróży niewątpliwie, — zauważył Brand — Nie zechcesz przecież obywać się bez najpotrzebniejszych rzeczy?

— Czemu nie? — odparł lord Lister. — Ten kufer stanowiłby dla mnie tylko kulę u nóg. Trzeba się nieustannie troszczyć o swój bagaż. Traci się cenny czas, który można rozsądniej zużytkować. Mając pieniądze, dostanę wszędzie to, czego mi potrzeba. Nie chcę dźwigać martwego ciężaru...

Instynkt mówi mi, — rzekł następnie do Branda —nie powinienem opuszczać Anglii, a w każdym razie chwilowo teraz. Mam tu jeszcze wiele do roboty. Uważam Londyn za miasto dające najwięcej możliwości ze wszystkich miast świata.

A następnie dodał:

— Słuchaj przyjacielu. Pojedziesz na Victoria Station i poczekasz na mnie przed kioskiem z gazetami. Nie zmienię planu: jedziemy pierwszym pociągiem.

— Czemu nie mogę zostać i pojechać z tobą na stację? — zapytał Charly.

Lord Lister spojrzał swemu przyjacielowi prosto w oczy:

— Drogi Charly — rzekł — w ciągu sześciu miesięcy, które spędziłeś przy mnie — nauczyłem się cenić ciebie, jako najlepszego i najwierniejszego towarzysza. Nie chcę więc mieć przed tobą żadnych sekretów.

Zaciągnął się dymem papierosa:

— Widzisz Charly — ciągnął dalej — pieniądze, które wydaję na przyjemności i na życie na szerokiej stopie, jak to przystoi gentlemanowi mego stanu, sumy łożone na pomoc niesioną nieszczęśliwym i wydziedziczonym — wszystko to płynie z jednego nie wyczerpanego źródła: źródłem tym jest moja własna głowa!

Lord Lister zamilkł i zapalił nowego papierosa. Charles Brand spoglądał na niego z oczekiwaniem, pełnym niespokojnej ciekawości.

— Nie rozumiem, Edwardzie? — rzekł wreszcie. — Mówisz że źródłem twej fortuny jest twoja głowa, twój mózg. Mimo to nie widziałem jeszcze nigdy, abyś uprawiał jakieś zajęcie zarobkowe. Może mi zechcesz wytłómaczyć, w jaki sposób można nic nie robiąc dojść do bogactwa?

— Oczywista, że ci na to odpowiem — odparł, strącając popiół z papierosa i zbliżając się do swego przyjaciela:

Raffles i ja to jedno!

Młody człowiek otworzył szeroko oczy, jakgdyby nagle ujrzał ducha.

— Żartujesz, Edwardzie? — rzekł z niedowierzaniem.

— O nie. Jestem tym, który przeszło od roku usiłuje pod pseudonimem Rafflesa przywrócić zachwianą równowagę pomiędzy klasą posiadaczy, a ludźmi umierającymi z głodu.

— Czy to może być prawdą? — spytał Charles. Twarz jego wyrażała powątpiewanie.

— Daję ci słowo honoru — oświadczył lord Lister — że ja jestem Rafflesem.

—Więc jakżeś mógł... Nie jestem w stanie pojąć... Wydaje mi się to bajką z Tysiąca i Jednej Nocy... Jak żeś do tego doszedł?

— Bardzo zwyczajnie. Mój ojciec i matka zostali ograbieni z całego ich majątku przez jakiegoś łotra. spekulującego na giełdzie londyńskiej. Młodość moją spędziłem w najokrutniejszej nędzy. Zrozpaczony ojciec popełnił samobójstwo, gdy tymczasem ów nędznik zaprzęgał poczwórne konie do karety, rozjeżdżając po naszych parkach i włościach. Wyzuł nas również z posiadania starego zamku w Szkocji. Majątek swój zrobił na nędzy nieszczęśliwych i na oszustwach. Niestety, prawo nie potrafiło obronić ojca mego przed tego rodzaju zbrodniarzem. Dowiedziałem się wówczas, że istnieje cała horda bandytów i łotrów, którzy dzięki podstępnym spekulacjom pozbawiają mienia tłumy nieszczęśliwych, Dowiedziałem się, że biedni prowadzą żywot nędzny i ciężki, podczas gdy te pijawki pławią się w bogactwie i pozwalają sobie na wyszukane przyjemności. **Postanowiłem wówczas sam jeden i bez niczyjej pomocy sprzeciwić się temu stanowi rzeczy i zwrócić szczodrą ręką wydziedziczonym ich zagrabiony majątek.** A teraz Charly, chcę ci zadać jedno pytanie: Czy chesz pomóc mi w tej walce? Czy czujesz się na siłach?.. Mów śmiało... Wiesz, że cenię szczerość.

Nie wahając się młody człowiek ścisnął wyciąg niętą ku niemu dłoń i oświadczył pewnym głosem:

— Nic mnie nie zwróci z raz obranej drogi. Cokolwiekby się stało, zawsze zostaję przy tobie i to co ty czynić będziesz, uważać będę za dobre i słuszne.

— Zgoda — rzekł młody lord, skinąwszy głową. — Byłem tego pewien, słuchaj więc dalej: Po drodze na Victoria Station wstąpisz do siedziby Armii Zbawienia, zostawisz tej szlachetnej instytucji anonimowo 5000 funtów. Dalsze 5000 zaofiarujesz w Centrali domów sierot i żłobków dla podrzutków. Resztę zachowasz dla mnie. Nigdzie nie podawaj mego nazwiska i nie żądaj pokwitowań. A teraz idź już, mój drogi, i oczekuj mnie w umówionym miejscu.

Charly sprawdził, czy włożył portfel z banknotami do właściwej kieszeni. Obydwaj mężczyźni jeszcze raz wymienili gorący uścisk dłoni i nowy

adiutant Tajemniczego Nieznajomego ruszył w dalszą drogę.

Lord Lister odprowadził go wzrokiem aż do drzwi, poczem zadzwonił na lokaja.

— Słuchaj, Fred — rzekł spokojnym tonem — mam zamiar wyruszyć w dość długą podróż. Powierzam ci cały mój dom. Będziesz go strzegł aż do nowych rozkazów.

— Tak jest — odparł wierny Fred z ukłonem. — Czy mam zapakować walizy?

— Nie, dziękuję — nie zabieram z sobą bagaży.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi frontowych.

— Czy pan zechce jeszcze przyjąć? — zapytał.

— Oczywiście — odparł lord Lister.

Fred pośpieszył do drzwi.

Po chwili do pokoju weszła miss Walton z dużym bukietem kwiatów w ręce.

Lord Lister zdawał się być zdziwiony i jednocześnie oczarowany jej widokiem.

— Proszę wybaczyć, milordzie, mą powtórną wizytę — rzekła melodyjnym głosem. Pozwoliłam sobie przynieść panu trochę kwiatów z powodu wyjazdu... Niechaj one świadczą o serdecznej wdzięczności, jaką żywimy dla pana wraz z matką. Z ślicznym uśmiechem wyciągnęła ku niemu naprawdę wspaniały bukiet.

Lord Lister wzruszony z kurtuazją wskazał jej miejsce no fotelu obok kominka.

— Nie będę pana długo zatrzymywała — rzekła dziewczyna z wahaniem — Widzę, że jest pan zajęty pakowaniem; nie chciałabym panu przeszkadzać. Jak to miło być musi wyjechać w daleką podróż. Od dzieciństwa marzę o zwiedzeniu dalekich krajów, o zobaczeniu południa i Włoch!

— Czy pani nigdy nie opuszczała dotąd Londynu? — zapytał lord Lister starając się podtrzymać rozmowę.

— Nie, nigdy. Muszę wyznać ze wstydem, że choć jestem Angielką, nigdy dotąd nie widziałam morza. Nie możemy sobie na to pozwolić, milordzie, jesteśmy zbyt ubogie.

— Czym był pani ojciec, jeśli wolno mi zadać niedyskretne pytanie?

— Był oficerem marynarki... Zginął w katastrofie morskiej. Nie możemy nawet pomodlić się na jego grobie. Ciało jego pochłonął ocean. Matka moja otrzymuje niewielką pensyjkę, którą podczas jej długotrwałej, bo od lat się ciągnącej choroby, musiałyśmy całkowicie zastawić. W ten sposób nie dostajemy z niej ani grosza.

— A ten wasz krewny, komisarz policji Baxter, czy nie pomaga wam w waszych strapieniach?

— To on właśnie zajął nam naszą pensję...

— Dobry krewniak! — rzekł lord Lister śmiejąc się nerwowo. — Jaki was łączy stopień pokrewieństwa?

— To siostrzeniec mojej matki... Mówiłam już panu, że ma twarde serce.

— Nie jest on ani gorszy, ani lepszy od innych egoistów. Może uda mi się odpłacić mu za to, jak postąpił względem nas.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi i na progu zjawił się lokaj.

— Bardzo przepraszam milordzie... Ci agenci, którzy byli tu dziś wieczorem, zjawili się powtórnie.

Lord Lister zastanowił się przez krótką chwilę, zapalił nowego papierosa i odparł z uśmiechem:

— Mam wrażenie, że panowie ci zapomnieli tu czegoś.

— Zapomnieli czego? — powtórzył Fred — rozglądając się ze zdziwieniem po pokoju.

—Oczywista, mój przyjacielu. Zapomnieli zabrać z sobą złodzieja, którego poszukiwali.

— Jakto? Przecież go tutaj nie ma?

Fred osłupiałym wzrokiem i z odcieniem strachu rozglądał się po gabinecie. Lord Edward wybuchnął śmiechem i klepiąc go przyjaźnie po ramieniu rzekł:

— On jeszcze jest tutaj, Fredzie. Nie sądzę jednak, aby zdołali go schwycić.

Zbliżył się do okna i rozejrzał się po ulicy. Usłyszał lekki odgłos gwizdka: tuzin policjantów otaczał dom.

— Osaczyli lisa — szepnął do siebie. — Dalejże— popróbujemy szczęścia. Zwrócił się do swego służącego:

— Słuchaj uważnie tego co ci powiem, Fred. Ta pani jest moją sekretarką. Jeśliby ktokolwiek o to cię zapytał, — odpowiesz w ten sposób. Dałem jej w prezencie kufer, ponieważ wyjeżdża w długą podróż. Wychodząc stąd zabierze go z sobą. Masz więc zawołać dorożkę, która zawiezie miss Walton i jej bagaże na stację. Teraz zaś powiesz tym panom, że odbywam małą konferencję ze swą sekretarką i poprosisz o chwilkę cierpliwości.

—Tak jest, milordzie—odparł stary służący i z głębokim ukłonem opuścił pokój. Zaledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy lord Lister zbliżył się do miss Walton i ujął jej obie ręce w swoje dłonie:

—Nadszedł moment, droga panno Heleno—rzekł bardzo cicho, — gdy może mi pani oddać dużą przysługę. Wczoraj wieczorem odebrałem staremu lichwiarzowi Jamesowi Gordonowi wszelkie jego skrypty dłużne i oddałem je nieszczęsnym jego ofiarom. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ten człowiek zdradził mnie przed policją. Otrzymał on odemnie całkiem zasłużoną nauczkę... Cieszę się prawdziwie, że udało mi się wyświadczyć przysługę wielu nieszczęśliwym, których wydarłem z szponów tego wampira.

— Ma pan naprawdę szlachetne serce — lordzie Listerze. Mnie i matce mojej wyświadczył pan przysługę, której nigdy nie zapomnę. Jestem szczęśliwa, że mogę panu być w czemkolwiek pomocną.

— Musi pani zdobyć się na panowanie nad sobą, miss Heleno — dodał lord Lister. Najmniejsze wahanie z pani strony może pociągnąć za sobą moją zgubę.

— O nie, — odparła z zapałem. — Może mi pan zaufać w zupełności. Musi mi pan tylko dokładnie powiedzieć, co mam robić. Proszę mi wierzyć, że kobiety są dobrymi sojuszniczkami....

W tej chwili zapukano do drzwi... Jakiś głos gruby i zachrypnięty, w którym lord Lister poznał odrazu Baxtera, zawołał:

— Lordzie Edwadzie Listerze! W imieniu prawa, proszę otworzyć!

— W tej chwili — odparł Lister... Pochylając się do ucha młodej dziewczyny, szepnął:

— Ta waliza jest dostatecznie wielka, żebym się mógł w niej zmieści... Zamknie ją pani na kluczyk, zawiezie na Victoria Station i zażąda osobnej garderoby... Tam dopiero mnie pani wypuści... Pieniędzy ma pani dosyć na opłacenie wszystkich kosztów... Jeśli policja panią zapyta, proszę powiedzieć, że rusza pani w podróż i że walizka ta stanowi pani własność. Czy pani mnie zrozumiała?

— Tak — odparła miss Walton zdecydowanym tonem...

Wzruszenie pozbawiło młodą dziewczynę rumieńców, które zwykle kwitły na jej twarzy... Była blada jak ściana i drżała ze zdenerwowania...

— Niech pani będzie mocną! — rzekł...

— Jestem nią — odparła opanowując wzruszenie.

Nie zdążyła wymówić tych słów, gdy lord podbiegł do walizy. W tej samej chwili otwarły się drzwi i do pokoju weszli komisarz Baxter, wywiadowca Tyler i Marholm wraz z dwoma policjantami...

Złoczyńca znalazł się w potrzasku. Z doskonałym spokojem wyszedł na spotkanie detektywów... Mimo beznadziejnej sytuacji z twarzy jego nie można było wyczytać strachu.

Z najpogodniejszą na świecie miną zażartował:

— Dzień dobry panom... Wolno mi zapytać, czemu zawdzięczam waszą wizytę? Skąd ten pośpiech? Czy Raffles nie zamierza po raz wtóry okraść mego mieszkania?

— Nie, — odparł Baxter — Raffles nie popełni więcej żadnej kradzieży w swym życiu, ponieważ aresztuję pana!

— Nie ma nic łatwiejszego — odparł król przestępców — niż zaaresztować Rafflesa przed jego schwytaniem.

— Myśmy go już schwytali — odparł Baxter.

— Bardzo szczęśliwie się złożyło — rzekł lord Lister. — Serdecznie wam winszuję zakończenia waszej gonitwy...

— Jak sam pan powiedział, jest to wypadek dla nas bardzo pomyślny... Lordzie Listerze, inaczej Johnie Rafflesie, aresztuję pana w imieniu prawa!

Lord Lister utkwił w komisarzu policji zimne spojrzenie swych czarnych oczu:

—Doskonały żart, — rzekł po dłuższej pauzie. Jeśli posiada pan więcej takich w swoim repertuarze, radziłbym panu wydawać tygodnik humorystyczny!

— Do diabła! —zaklął komisarz, nie posiadając się z gniewu, na widok ironicznie uśmiechniętego Marholma. — Już zbyt długo kpi pan z nas w żywe oczy!... Teraz kolej przyszła na nas... Po raz ostatni wzywam pana do poddania się!

Lord Lister opierał się noszalancko o kominek... Po twarzy jego przebiegł lekki uśmiech... Spokojnie palił swego papierosa, przyglądając się kłębom dymu, unoszącym się w powietrzu:

— Żal mi pana, panie komisarzu Baxter...

— Dla czego?

— Ponieważ pańskim udziałem stało się zajmowanie moją skromną osobą...

— O, to nie potrwa długo, — odparł Baxter.

Doprowadzony do ostateczności spokojem lorda, zwrócił się z wściekłością do policjantów:

— Na co czekacie? Brać go!

— Proszę się zatrzymać... Przede wszystkiem proszę, pozwolić wyjść swobodnie tej pani, która jest moją sekretarką i wyrusza w podróż... Walizka stojąca w mym gabenecie stanowi jej własność...

Komisarz Baxter spojrzał z zakłopotaniem na młodą dziewczynę; w zamieszaniu nie zwrócił początkowo na nią uwagi.

— Co robisz w tej jaskini zbrodni? — zawołał, rozpoznając w niej swą siostrzenicę.

— Zarabiam na chleb dla siebie i dla mej matki — odparła miss Walton dumnie.

— Świetny sposób zarabiania na chleb dla przyzwoitej panny! — wrzasnął komisarz. — Wyobrażam sobie, że twoja przyjaciółka buzia odegrała tu główną rolę... Wpadłaś w oko temu zbrodniarzowi!

— Kanalio! — zagrzmiał głos Listera. — Zapłacisz mi za tę zniewagę! Prawą ręką sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął małe złote pudełeczko:

— Czy widzi pan to pudełko, panie komisarzu? — zapytał. — Otrzymałem je od swych przyjaciół, anarchistów rosyjskich... Miało mi oddać przysługę w ostatecznym momencie mego życia... Jest to kieszonkowa bomba dynamitowa, gotowa do wybuchu... Za chwilę wszyscy razem wyruszymy w podróż, z której się nie wraca... Nie można schwytać żywcem lorda Listera... Najwyżej lord Lister może was zabrać z sobą na tamten świat.

Nie zdążył dokonać tego, gdy detektywi sparaliżowani początkowo ze strachu, ile sił w nogach rzucili się do ucieczki:

— Ratuj się, kto może! — zawołał Baxter idąc w ich ślady...

Złote pudełko upadło na podłogę: była to zwykła złota papierośnica...

Na ulicy rozbrzmiewały sygnały policyjne... Słychać było tumult uciekających.. Lord Lister zwrócił się do miss Walton i rzekł szybko:

— Teraz miss Heleno, mój los leży w pani rękach... Proszę wykonać dokładnie to, o co panią prosiłem.

Otworzył walizkę, wskoczył do wnętrza i zamknął przykrywę.

Po upływie trzech minut detektyw Marholm zajrzał lękliwie do gabinetu: Ujrzał na dywanie złotą papierośnicę i rozsypane papierosy... Na widok ten wybuchnął szczerym śmiechem. Nachylił się aby zebrać papierosy i zawołał głośno w kierunku schodów.

— Wejdźcie śmiało na górę, chłopcy!... Groźna bomba jest niczem innym jak niewinną papierośnicą... Raffles jeszcze raz zakpił sobie z nas zdrowo! Marholm śmiał się do rozpuku.

Gdy komisarz i wywiadowcy z rewolwerami w w ręce wpadli do gabinetu, Marholm rzucił się na fotel, wijąc się poprostu ze śmiechu. Baxter miotał się jak raniony zwierz. Biegał po wszystkich zakamarkach mieszkania i rozkazywał swym agentom przetrząsać po dziesięć razy te same kąty.

— Nie mógł przecież wyfrunąć w powietrze— krzyczał. — Że nie wyszedł stąd drzwiami to pewne! Musiał gdzieś zaszyć się w jakąś przeklętą dziurę! Nie opuszczę tego domu, zanim nie przetrząsnę wszystkich ścian, cegła po cegle...

Pieniąc się ze złości nie przestawał bębnić palcami po wieku walizki. Zwrócił się nagle do miss Walton i zapytał:

— Którędy uciekł?

— Nie wiem. Myślę, że ulotnił się przez tamten pokój — odparła.

Po krótkiej chwili zwróciła się do komisarza:

— Mam zamiar wyjechać z miasta pociągiem odchodzącym o godzinie 12-tej... Nie mogę więc czekać tu dłużej. Ponieważ wyjeżdżam z matką, bardzo was proszę panowie, abyście mnie nie zatrzymywali.

Zawołała lokaja i wraz z nim zniosła ze schodów ciężką walizę.

Detektyw Marholm, widząc, że zarówno dziewczyna jak i stary służący uginają się pod ciężarem zbyt ciężkiej dla nich walizy, zwrócił się do stojących na dole policjantów, aby pomogli kobiecie:

— Pomóżcie znieść tę walizę do dorożki. — rzekł.

Miss Walton podziękowała mu uroczym uśmiechem. Na widok policjantów dźwigających ciężką walizkę odetchnęła z ulgą. Wydawało jej się, że

samo niebo zdjęło z jej serca ciężar stufuntowy. Za nimi rozbrzmiewały przekleństwa i krzyki zdenerwowanego komisarza Baxtera, napróżno szukającego nieuchwytnego złoczyńcy. Starannie opukiwał ściany w nadziei odnalezienia sekretnego przejścia. Kazał sobie nawet dać drabinę i wdrapał się aż na dach.

Tymczasem miss Walton bez przeszkód dobrnęła do Victoria Station. Na dworcu zawołała tragarza i pod pretekstem, że musi coś wyjąć ze swej walizy, kazała ją zanieść do pustej salki. Gdy tylko została sama, otworzyła pokrywę walizy i lord Lister zdrów i wesół wyskoczył na podłogę. Przeciągnął się z rozkoszą, gdyż pobyt w walizce nie należał do najwygodniejszych. Ucałował z wdzięcznością obie ręce dziewczyny:

— Jest pani dzielną kobietą — miss Heleno — rzekł. — Zyskała sobie pani u mnie dozgonną przyjaźń. Mam nadzieję, że powrócę tu niedługo. Proszę mi pozwolić skomunikować się z panią i zasięgnąć wiadomości o zdrowiu jej matki.

Z pośpiechem opuścił salę.

Przed pociągiem idącym do Queenborough spotkał na skwerze Charlesa Branda.

— Najwyższy czas! — krzyknął sekretarz w jego stronę. — Pociąg odchodzi za pięć minut.

— Doskonale, Charly — odparł lord Lister. — Muszę jeszcze jedno słowo przesłać telegraficznie.

Gdy wrócił z kiosku poczty — rzekł do swego przyjaciela:

— Rozmyśliłem się, — zostaję w Londynie. Mam zamiar wynająć na czas pewien mały domek z ogródkiem w okolicy West Endu.

Rozmawiając wesoło obydwaj mężczyźni zginęli w tłumie...

Wtym samym czasie komisarz Baxter przy pomocy specjalnie sprowadzonych robotników zrywał podłogę w gabinecie lorda Listera. Wywiadowca Marholm w dalszym ciągu badał skrupulatnie mury całego mieszkania.

Nagle spostrzegł, że drzwi rozsuwane pomiędzy gabinetem a sypialnią zamykając, się odkrywają w ścianie łazienki otwór, przez który można z łatwością wejść do wnętrza dużego stojącego zegara w gabinecie. Komisarz Baxter zaniepokił się nagle podejrzanym szumem dochodzącym ze strony zegara. Nastawił uszu. Na twarzy jego pojawił się wyraz błogiego zadowolenia.

— Mysz wpadła do pułapki — szepnął i skinął na agentów.

— Mamy go — szepnął. — Odkryliśmy jego kryjówkę. Jest tam w zegarze!

Starając się czynić najmniej hałasu, agenci ustawili się dokoła. W tej samej chwili detektyw Marholm nie przczuwając nic złego otworzył od wewnątrz drzwi zegara i wszedł do gabinetu. Natychmiast dwanaście pięści chwyciło go za ramiona i ręce.

— Czyście poszaleli? — krzyknął, otrząsając się jak dzik napadnięty przez psy gończe.

— Trzymać go, trzymać go! — krzyczał Baxter.

W swym zaślepieniu przypuszczał, że zamiast Marholma schwytał Tajemniczego Nieznajomego. Policjanci natomiast poznali swą pomyłkę i puścili kolegę. Marholm rozcierał zbolałe miejsca. Na ramionach i barkach wystąpiły liczne sińce — ślady żelaznych uścisków wywiadowców. Mimo bólu Marholm nie mógł wstrzymać się od śmiechu na widok zawiedzionej miny komisarza Baxtera.

Baxter nie zdążył jeszcze ochłonąć ze swego oszołomienia, gdy do pokoju wszedł lokaj niosąc telegram. Telegram ten zawierał następującą treść:

Komisarz Baxter w miejscu.
Winszuję sukcesu!

John D. Raffles.

Podczas gdy trzech policjantów podbiegło do swego szefa, niosąc mu pierwszą pomoc w ataku apoplektycznym — detektyw Marholm wybiegł do sąsiedniego pokoju aby w samotności wyśmiać się tak, jak nie śmiał się dotąd nigdy w życiu.

Koniec.

Następny numer 2 **„Lorda Listera“** który ukaże się w czwartek dn. 18 listopada b. r. zawierać będzie przygodę p. t.

ZŁODZIEJ KOLEJOWY

Cena 10 gr. **Cena 10 gr.**

-8. II. 1938 r.

Kto go zna?

— oto pytanie, które zadają sobie w Urzędzie Śledczym Londynu.

Kto go widział?

— oto pytanie, które zadaje sobie cały świat.

LORD LISTER

T. ZW. TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

spędza sen z oczu oszustom, łotrom i aferzystom, zagrażając ich podstępnie zebranym majątkom. Równocześnie Tajemniczy Nieznajomy broni uciśnionych i krzywdzonych, niewinnych i biednych.

Dlaczego przestępcy wszystkich krajów drżą przed Lordem Listerem?...

Dlaczego miliony Czytelników na całym świecie zachwycają się jego przygodami?!...

Albowiem

nigdy jeszcze nie było człowieka, któryby w równej mierze łączył ROZUM — SIŁĘ — PRZENIKLIWOŚC — GRUNTOWNĄ WIEDZĘ — ODWAGĘ I PRZYTOMNOŚĆ UMYSŁU — i wszystkie te rzadkie dary szlachetne oddał na usługi Biednym i Wydziedziczonym przez los

Czytajcie emocjonujące i sensacyjne **Czytajcie**

PRZYGODY LORDA LISTERA

10 gr. Co tydzień ukazuje się jeden zeszyt, stanowiący oddzielną całość **Cena 10 gr.**

Wydawca: Wydawnictwo „Republika" Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak.

Odbito w drukarni własnej Łódź Piotrkowska Nr. 49 i 64.

Konto PKO 68.143 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

1290 Pe

BN
BN
BN
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001024768199

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
623395
A
BIBLIOTEKA NARODOWA BN